



„OPERATION HIMMLER” -str. 5

odqtosy

TYGODNIK ŁODZKI
Rok III. ŁODZ, 4 września 1960 r.
Nr 35 (131) Cena 1 zł



Gliwicka Radiostacja. To właśnie tutaj rozegrała się wielka antypolska manifestacja — „Operation Himmler”

GLIWICE, 31 sierpnia o godz. 20 kilku uzbrojonych i ubranych w polskie mundury mężczyzn wdarło się do miejscowej radiostacji. Tak zaczęła się „OPERACJA HIMMLER”, tak zaczęła się II wojna światowa...



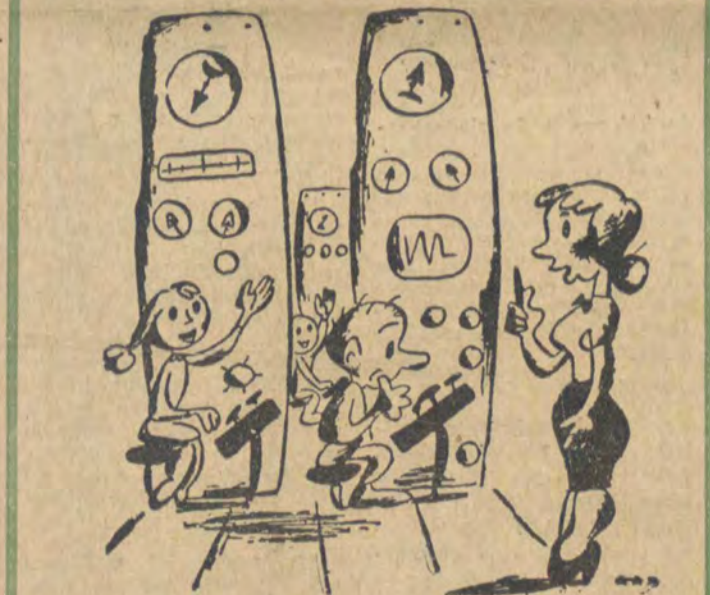
OLIMPIADA -str. 3



RYWALE (rys. Cabu)

Żarty ze szkolnej ławy

Patrz również — str. 11



W SZKOLE PRZYSZŁOŚCI — Ile będzie 1978356427 do 31 poęgi. (rys. B. Miłta)

Fidel Castro o kubańskiej rewolucji

Od dwóch prawie lat uwagę całego świata ściga zwycięska rewolucja kubańska i walka dzielnego, małego narodu przeciw spiskom amerykańskiego imperializmu. W ostatnim czasie redakcja postępowego francuskiego miesięcznika „Regards” wysłała do Hawany panią Lilianę Tonnaire z zaleceniem przeprowadzenia wywiadu z wodzem rewolucji i szefem odradzającego się państwa dr Fidelm Castro. Wywiad ten zamieszczamy z niewielkimi skrótami.



— Które z mnogości zagadnień, jakim pański rząd musi równocześnie stawić czoło, uważa pan za najpilniejsze?
— Prawde mówiąc, nie mamy zbyt wielu problemów, nie znajdujemy się w trudnościach. Jesteśmy raczej zaabsorbowani pracą, musimy dużo pracować, ponieważ projektujemy zwiększenie produkcji oraz uprzemysłowienie kraju.
Wprowadziliśmy oszczędności, żeby inwestować w przemysł. Walczymy z bezrobociem; na Kubie były setki tysięcy bezrobotnych i do-



starczenie im pracy jest najważniejszym zadaniem rewolucji. Do tej pory zatrudniliśmy już około stu tysięcy ludzi w rolnictwie i przemyśle, a nasza produkcja nadal wzrasta. W przyszłości poszukamy innych źródeł dochodów: rozpoczniemy wielkie budowy. Dzisiaj wiele fabryk pracuje po 24 godziny na dobę i osiągnęły już maksymalny poziom produkcji.
Nie zaniedbujemy przy tym spraw oświaty i zdrowia. Zakładamy mnóstwo szkół, wykształciliśmy dziesiąt tysięcy nowych nauczycieli. Na wsi przekształciliśmy wiele dawnych „twierdz” w budynki szkolne, budujemy także osiedla uczelniane. Będzie się tam uczyć i wychowywać jakieś dwadzieścia tysięcy dzieci.
Staramy się również o rozwój narodowej turystyki. Być może zauważyła pani jej liczne ośrodki. Przygotowaliśmy i wyposażyliśmy ostatnio dwadzieścia osiem całkowicie nowych kąpielisk nadmorskich. Dawniej ludzie nie mogli zażywać kąpielii w morzu, ponieważ wszystkie plaże stanowiły własność prywatnych posiadaczy, którzy sami tylko z nich korzystali. Obecnie dostępne są one dla każdego.
(Dalszy ciąg na str. 8)

Wbrew pozorom wrześniem jest miesiącem młodości. I chociaż kojarzony bywa z siwizną na skroniach, czy tzw. jesienią życia, w gruncie rzeczy kipi młodością. Znowu pęcznią przetłoczone szkoły, niebawem zaśpiewają akademicy „Gaudemus”, tętno miasta bije żywiej. I redaktorzy budzą się przy tej okazji z letniego snu, wywołują zapewne jakąś odkrywczą dyskusję.
Można przypuszczać, że będzie to dyskusja o szkole drugiej połowy naszego wieku, szkole nowoczesnej, na miarę epoki. Niczego tak chętnie nie udzielamy jak rad, posypia się też one niezłym z przysłowiowego rogu obfitości. Ano, że życie trzeba dogonić, unowocześnić się, z prądem iść, z prądem. Trzeba też dzieci i sie-

związany ze szkołą od 1945 roku przeszedł co najmniej 3 reformy szkolnictwa zawodowego, administracji szkolnej co ze cztery. Pamięta, że może trochę przesadzone bogactwo typów szkół zawodowych sprowadzili reformatorzy w 1950 roku do trzech, a w ostatnich latach powracają przez ośmi most do dawnej wielości. Cykl nauczania był raz długi, raz krótki, to znów dłuższy. A już reformy podręcznikowe? Te nieszczęsne podręczniki były raz dobre, raz złe, zależnie od pory roku, albo ich wcale nie było. Tymczasem w miejsce spokoju, stabilizacji — jeszcze jedna reforma. I to nie była jaka.
Oczywiście, dobrze by to było posadzić młodego człowieka w nowoczesnym laboratorium a nie głośnej kłitce, która musi obsługiwać dwie, albo trzy szkoły. Dobrze byłoby posadzić młodzieńca przy skomplikowa-

nej maszynie, pokazać mu nowe technologie, wynalazki, coś elektronicznego, radiowego, a już najlepiej atomowego. Każdy chyba nauczyciel wie, że lepsze przyniesie skutki wychowawcze analiza układu wysoko zorganizowanej maszyny, niż analiza układu wczesnofeudalnego. Ale szkoła wciąż jeszcze nie wychodzi z zaczarowanego kręgu skandyńskiego słoju i trzeba się martwić o drucik, młotki, gwoździe, a już prawdziwym problemem bywa niekiedy zdobycie dykty, sklejki drewnianej, albo emalii w odpowiednim kolorze.
Tak sobie może pomyśleć nauczyciel na progu nowego roku szkolnego. Czy będzie miał rację? Myślimy, że tego września, otoczony młodzieżą, powinien z większą otuchą spoglądać w przyszłość. Zwłaszcza nauczyciel naszego miasta. A to dlatego, że

zyskał przyjaciela najbardziej przydatnego w zbliżeniu szkoły do życia. To jest robotnik i jego zakład pracy. W fabryce są druciki, młotki i dłutka, znajdują się też akumulatory, wszelakie rodzaje maszyn, nie tylko włókiennicze, nowoczesne aparaty, laboratoria. W takich instytucjach naukowych znajdzie się miejsce na wiele typów młodzieńczej wyobraźni i uzdolnień.
Jest więc szansa, aby zamierzona reforma nie miała gabinetowego charakteru, lecz realny. Trzeba tylko, za raz po dzwonku, który rozpocznie pierwszą lekcję, rozzejrzeć się pośród przyjaciół, a jest ich w naszym mieście dobre kilka setek, wybrać odpowiedni zakład, laboratorium, instytut naukowy. Racja nowoczesnej szkoły polega na ścisłym związku z przemysłem, w tej właśnie racji mieści się m. in. sens zamierzonej re-

formy. Czy przewróci się do góry nogami dotychczasowa szkoła, czy reforma zburzy dotychczasową pracę nauczyciela? Sądymy, że ją wzbogaci, zapewni stabilny rozwój, gdyż nie zanosi się na likwidację przemysłu, lecz jego szybki rozkwit. Gdzie najszybciej odnajdzie praktyczny kształt postępowi, zdobycze nowoczesnej wiedzy, jeśli nie w przemyśle?
Dehumanizacja młodzieży? Jesteśmy przeciwnego zdania. Uraji literatury i historii, cała sfera oddziaływania wychowawczego na emocje młodzieży z pewnością tylko zyska, jak wszędzie tam, gdzie składniki wychowania występują w pełni i wspólnie, a nie w pojedynkę. Miał dużo racji Norwid, kiedy pisał, że piekno jest na to, żeby do pracy zachwycało, praca by się z martwych powstała.
RED.

MATEUSZ DZIEWISZ

Czy rzeczywiście mniej młodzieży robotniczej na wyższych uczelniach?

Od kilku już lat zarówno czynniki oficjalne, jak i pochodzące z różnych środowisk głosy opinii publicznej wyrażały swoje zaniepokojenie faktem stopniowego zmniejszania się ilościowego i procentowego młodzieży pochodzenia robotniczego na wyższych uczelniach. Zwracano między innymi uwagę na to, że przyczyn takiego stanu rzeczy szukać należy już w szkole średniej. Ze niby szkoła ogólnokształcąca, która dostarcza większości kandydatów na studia, wykazuje tendencje do elitaryzmu.

Zarzut elitaryzmu wobec szkoły średniej sformułowany w tym sensie, że dominującą grupę w ogólnym składzie uczniów stanowią młodzież pochodząca ze środowisk inteligentnych. Jako przyczynę tego zjawiska podawano małą atrakcyjność szkoły ogólnokształcącej, jej oderwanie od praktyki. Wskazywano, że o ile młody człowiek nie myśli o studiach wyższych, bądź myśli, a nie udaje mu się złożyć pomyślnie egzaminu wstępnego, to matura na nie mu się zdaje. Inna, wcale niebagatelna przyczyna nieatrakcyjności szkoły średniej w środowisku robotniczym, kierującym się w większym mierze aniżeli środowisko inteligentne doraźnym utilitaryzmem i bardziej namacalnymi korzyściami materialnymi, miała być swoista deprecjacja zarobkowa ludzi z wyższym wykształceniem.

Rozumowanie publicystów usiłujących w ten sposób wytłumaczyć opinie publicznej względny spadek zainteresowania się studiami wyższymi młodzieży pochodzenia robotniczego, a co za tym idzie niekorzystne przegrupowanie w składzie socjalnym studentów, nie pozbawione było logiki i niewątpliwie dużej dozy racji. Są to, wydaje się, sprawy już zbyt oczywiste, żeby raz jeszcze do nich powracać.

Moim zdaniem w tego rodzaju wyjaśnieniach niepokojąca jest kapitalna sprawa, której z reguły się nie dostrzegało. Nie da się bowiem jej odczytać z oficjalnych statystyk. Nie uwzględniają one bowiem zmian, jakie dokonały się i dokonują w strukturze zawodów.

Proces szybkiego wzrastania grupy pracowników umysłowych postępował i postępuje nie tylko na drodze względnego rozrostu aparatu administracyjnego, ale, i to może przede wszystkim, na drodze uzyskiwania przez liczne ka-

tegorie pracowników fizycznych uprawnień przysługujących pracownikom umysłowym. Następuje swoista, jeśli tak można powiedzieć, nobilitacja pewnych kategorii pracowników fizycznych na pracowników umysłowych. Daje ona tym ostatnim oprócz większej ilości obowiązków i uprawnień, także niezamierzony chyba przez ustawodawcę skutek w postaci pewnego wyobcowania ich z grupy pracowników fizycznych.

Dokładna analiza składu socjalnego młodzieży szkół wyższych, uwzględniająca przemiany, jakim podlegała w latach powojennych struktura klasy robotniczej i struktura zawodów tradycyjnie uznawanych za fizyczne, ukazałaby w nowym świetle problem składu socjalnego studentów. Kto wie, może okazałoby się, że względny spadek odsetka młodzieży robotniczej byłby mniej niepokojący aniżeli to wynika z oficjalnych statystyk. Statystyka rejestruje jedynie suche fakty, nie uwzględniając w rzeczywistości, która kryje się za liczbami i procentowymi wskaźnikami. W dodatku nie rejestruje dynamicznych procesów rewolucjonizujących pojęcia pracy fizycznej i umysłowej. Te przydatne wyjaśnienia pozwolą lepiej zrozumieć niewielką przydatność oficjalnej statystyki traktującej o składzie socjalnym studentów.

Co stanowi kryterium pochodzenia socjalnego kandydata na studia, a później studenta? Przede wszystkim zawód wykonywany przez rodziców. Ponieważ praca wykonywana przez rodziców stanowi kryterium pochodzenia socjalnego, zaś zawód pracownika umysłowego równa się inteligentkiemu, nie przeto dziwnego, że razem z wzrostem grupy pracowników umysłowych, także tych nobilitowanych, rośnie w statystyce ilość i odpowiedni procent młodzieży inteligentnej na wyższych uczelniach.

Żeby nie być gołosłownym podam kilka przykładów: mistrz w fabryce włókienniczej to pracownik umysłowy. Dzieci jego zaszerogowane zostaną zatem do grupy inteligentek. Inne: ekspedient, starszy dorezyciel (nie wiem, ale chyba listonosz), instruktor drużyn parowozowych, magazynier, pielęgniarka, położna, sekretarz rady zakładowej, pracownik aparatu partyjnego, to wszystko kategorie pracowników umysłowych. Ich dzieciom, jeśli ubiegały się o przyjęcie na wyższą uczelnię

i zostały przyjęte, w rubryce pochodzenia społeczne napisze się inteligentki. Dlatego statystyka robiona w oderwaniu od kontekstu społecznego, od strukturalnych przemian zachodzących w łonie klasy robotniczej, nie respektująca pewnej prawidłowości społecznej, jaka jest narastanie zawodów określanych jako umysłowe, nie odzwierciedla obiektywnie właściwych proporcji w składzie młodzieży szkół wyższych.

Kryterium określające pochodzenie społeczne na podstawie zawodu wykonywanego przez rodziców, stosowane w pierwszych latach powojennych, obok wielu innych zalet miało jeszcze to do siebie, że zgodne było z rzeczywistymi różnicami, jakie dzieliły środowisko inteligentki i robotnicze. Stosowane w tej samej formie dziś staje się coraz bardziej anachroniczne i mało przydatne.

Dlatego niesłuszne wydaje się stosowanie w obecnych warunkach preferencji wobec młodzieży, którą według anachronicznej nomenklatury określa się jako pochodzenia robotniczego. Jeśli w pierwszych powojennych latach wpływ środowiska dawał niewątpliwą przewagę kandydatom pochodzącym ze środowiska inteligentkiego, to dziś można z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że środowisko kandydata nie ma prawie żadnego wpływu na stopień jego naukowego przygotowania. Zacierają się różnice między kandydatami ze środowisk robotniczego i inteligentkiego w dużym mieście. Decydują tu ambicje, osobiste zdolności, pracowitość, odporność psychiczna i inteligencja kandydata. Młode pokolenie wychowane w mieście bez względu na środowisko, z jakiego pochodzi, korzysta w jednakowej mierze z tych wszystkich środków, jakimi w zakresie obyczajów, kultury, upowszechnienia wiedzy dysponuje społeczeństwo drugiej połowy XX wieku. Wyraża się to w unifikacji mody, obyczajów, sposobie bycia, zachowaniu, zainteresowaniach, języku itd. Można zatem mówić o równym starcie młodzieży z miast bez względu na jej pochodzenie społeczne. Niezależnie zaś od poziomu kandydatów jest to proces, który bardzo przekonująco świadczy o głębokich procesach socjalizacji, które dokonały się w Polsce w ciągu minionego piętnastolecia. W procesach tych nie uwzględnia znumifikowania statystyka. A szkoda.

Nasza szkołka

Na zakręcie żywota z wielkim zamilowaniem czytuje Mniszkównę. Od nowa wczuwa się w całą jej zapoznaną głębię. Bo weźmy choćby takie zdanie. (Między ordynatem i ordynatową doszło do malej acz salonoj wymiany zdań pozostającej w trybie konwersacyjnym, na co hrabia ordynat zareagował jak następująco).

„Hrabia zapiał bonzurkę i udał się do swojego skrzydła”.

— Skrzydła! — uważacie. Od takiego słowa każdemu plebejuszowi rosną skrzydła.

Niestety przemienły ordynacje i fildekosy — jak to pisze pani Falkowska o sprawie Georga hrabiego — patrioty Potockiego. Obywatel miasta Łodzi uległszy sprzecze sąsiedzkiej na tle wykradzenia z rosolu użytkownika kuchni trzech oczek tłuszczy nie udaje się do swojego skrzydła w trój-skrzydłowym i tylnym mieszkaniu swym mieszkaniu, liczącym trzy pokoje z kuchnią i widokiem na wychodek. Obywatela nie kuszą jego skrzydła. Obywatel bierze garnek z okradzionym z ócz tłuszczy rosolem i rżnie garnkiem sąsiadkę w potylicę, powodując potłuczenie i poparzenie trzeciego stopnia.

Dlaczego? Czy dlatego, że skrzydło jest skrzydło nie równe, co można zaobserwować oglądając np. orla i kurczaka, czy też dlatego, że obywatel nie nosi bonzurki a i w innych detalach nie jest hrabia?

Oto dylemat, o którego rozwiązanie niniejszym się pokuszę.

Kiedy człowiek odkryje w swym stadle małżeńskim niezgodność charakterów polegającą na tym, że małżonka zadaje mu rany cięte on zaś odwzajemnia się jej tłuczonymi (nie licząc u obu współpartnerów zranień moralnych) — wówczas występuje o rozwód, który też, w majestacie prawa zazwyczaj jest mu udzielany.

Ale kiedy także niezgodność charakterów występuje pomiędzy sąsiadem a sąsiadem żaden sąd, choćby i Najwyższy rozvodu nie jest władny udzielić. I gdzie tu sprawiedliwość?!

W tym pierwszym wypadku sąd nagabywany o rozwód może powiedzieć: sam (aś) sobie tę szantrapę (bęcwała) wybrał (a), wymarzył (yła), wypieścił (iła), uwidlił (odła), ściągnął (ęła) do USC. Każdy rozsądny człowiek od razu by ei powiedział, co to za ziółko. A nawet liczni rozsądni, a życzliwi mówili.

Czegóż więc człowieku chcesz?

Smieć twierdzić, że sąsiada nikt sobie nie wybiera, wymarza, wypleszcza, uwodzi lub ściga. Sąsiad jest z góry nam w życiu dany nieczym prawa fizyki. A jednak nie można uzyskać od niego rozvodu. Wzrost gdzie tu sprawiedliwość?!

Opinia publiczna dostrzega te różnice. I dlatego surowo ocenia moralność człowieka, który nie chce konać u boku tej samej żony (męża) łagodnie traktując sąsiada, który dokłada starań, aby jego sąsiad konał przy czymkolwiek boku, oby jak najwcześniej. Opinia publiczna nawet mniema, że sąsiedzkie nieporozumienia są nieuniknione i mnogość ich sądowych finałów jest naturalna, albowiem winne tu są same warunki życiowe, polegające na tym, iż skrzydło,

Zdrowe jądro Pani Mniszek



do którego może się schronić sąsiad przed sąsiadem, nieczym nie przypomina swą rozległością tego pałacu Michorowskich. Ergo powiada ta opinia — wystarczy rozprześcić skrzydła, aby stosunki międzysąsiedzkie przypominały współzycie a niółków w chórach niebieńskich.

Bujda!

Gdyby konsekwentnie winić za nieporozumienia międzysąsiedzkie warunki mieszkaniowe, wspólne kuchnie i łazienki (lub wspólny brak łazienek) ciasnotę itp., można by dojść do wniosku, że realizacja hasła „każdemu oddzielne mieszkanie” złagodziła by co prawda istniejącą sytuację w dziedzinie pyskówki i rekocznów, ale idealnie roz-

więzałyby ją realizacja hasła „każdemu jego jaskinia na rozległej pustyni”. Przyuczony międzyludzki antagonizm nie są i nie mogą być takie mechanicznie i ponadczłowiecze. Tak bardzo leżące na zewnątrz ich bohaterów. Gdyby tak bowiem było, ideałem społecznego współzycia było by odcięcie kontaktów pomiędzy człowiekiem i człowiekiem, ideał społeczeństwa, ku któremu zmierzamy nie polegał by na stopniowej dezatomizacji społecznej, właśnie, nie na rozbudowywaniu więzi, ale na kopaniu każdemu jego własnej, luksusowej nory.

Kłótnie międzysąsiedzkie są częstsze niż wewnątrzrodzinne. Dlaczego? Przecież w naszym trzypokojowym i trzyrodzinnym mieszkaniu przed sąsiadem można się schronić choćby do owego jednopokojowego skrzydła, a przed własną żoną i tylko uprawiając sztukę jogów (Skupienie wewnętrzne w światła z otoczenia. Polecam).

Tak. Ale rodzinę jednoczy wspólnota interesów. Jeśli już nie uczuciowych, to ekonomicznych. Natomiast od sąsiada wszystko dzieli. Wyjąwszy zbyt krótki korytarz. Znów dlaczego? Ba, to już dłuższa historia.

Stosunki międzyludzkie budują całokształt zjawisk ekonomiczno-społecznych aktualnych i minionych, nie zaś warunki mieszkaniowe przy ulicy takiej to a takiej, pod numerem X. Pozostając z całym szacunkiem dla problemu mieszkaniowego jako takiego i jako powodu międzyludzki niesnasek. Ale nie jest to przyczyna główna i na pewno nie jedyna masowej plagi sąsiedzkiego piekła. Niestety. Bo wbrew pozorom łatwiej wybudować domy niż zmienić nawyki społeczeństwa, wykształcić zdolność do współzycia.

Ponieważ to felieton a nie traktat, ja zaś jestem felietonistą, nie zaś traktacista — nie mogę w sposób przekonywujący lub jakkolwiek uzasadniony wyrażonej tu opinii, grzebiąc w brzuszu społeczeństwa. Co najwyżej mogę ją jeszcze raz sformułować.

Hrabia ordynat w odpowiednim momencie dopinał bonzurki nie dlatego, że miał skrzydło, ale dlatego, że był hrabia. I przychyliam się do opinii naszej wielkiej pisarki Mniszek Heleny na temat tajemnych właściwości błękitnej krwi. Bo ktoś zaprzeczy, że hrabia mimo posiadane skrzydło mógł tak zaprawić ordynatową kandelabrem, żeby od razu zaczęła wahać kwiatki od spodu?

W twórczości ulubionej mojej pisarki można więc znaleźć nie tylko nieklamana, ale głębież przeżycia, ale również zdrowe, filozoficzne jądro.

BELFER

WIESŁAW JAŻDZYŃSKI

Z felietonu Mateusza Dzewisz, który drukujemy w bieżącym numerze wynika, że troska czynników oficjalnych o to, aby więcej młodzieży robotniczej dostawało się na wyższe uczelnie jest co najmniej przesadzona. W orzeczeniu rzeczy sytuacja przedstawia się zupełnie dobrze. Dzewisz poucza nas, że na wyższe uczelnie idą synowie i córki byłych robotników, nobilitowanych na majstrów, sekretarzy rad zakładowych, instruktorów drużyn parowozowych itd. Ludzie ci mają te same aspiracje kulturalne i zainteresowania co robotnicy, są więc nimi nadal. Tymczasem umieszcza się ich w szufladzie z napisem „inteligencja” i podnosi krzyk, że młodzieży robotniczej na uczelniach za mało.

Kto temu winien? Któż stwarza fikcyjne problemy i zaprzęta nimi niepotrzebnie głowy czynników oficjalnych, a także i słowa publicystów? Statystyka stwarza, znumifikowana statystyka, która —

szę autor felietonu, jeżeli sądzi, że załatwił sprawę, znuży — uspokoił opinie, pocieszył czynniki oficjalne i pouczył publicystów, że na dobrą sprawę nie ma o czym pisać.

Sądzę, że Dzewisz nieco przedwcześnie likwiduje nam klasę robotniczą. Przecież wiadomo, myślę, i temu, że wraz z awansem jednej części robotników, reszta nie przestaje istnieć. Przeciwnie

zgrozo — nie dostrzega procesu emancypacji klasy robotniczej. Ciężki to zarzut i nie wiem doprawdy, jak sobie z nim poradzą statystycy. Tym więcej, że Dzewisz ma trochę racji. Istotnie takie klasyfikowanie inteligencji robotniczego pochodzenia może w pewnej mierze zaciemniać obraz struktury społecznej młodzieży akademickiej. Myślę więc, że statystyka, ale jednak bardziej niż statystyka myli

zwalniać czynniki oficjalne o troski o tę młodzież, po cóż demobilizować opinie publicznej? Mimo niechęci do statystyki, Mateusz Dzewisz powinien raczej zapoznać się z cyframi, które zapanują dalszy rozwój naszego przemysłu w najbliższej pięcioletce.

A już na pewno nie powinien uważać, że stosowanie preferencji dla młodzieży ro-

botniczej (i tej rdzennej i tej po awansie) jest niesłuszne, a nawet anachroniczne. Przesłanka, na której Dzewisz opiera ten wniosek, wydaje mi się mocno podejrzana. Pisze mianowicie, że „środowisko kandydata na uczelnię nie ma dziś prawie żadnego znaczenia, a wobec tego można mówić o równym starcie młodzieży miejskiej bez względu na jej społeczne pochodzenie. Aż dziwi bierze, skąd u wro-

botniczej (i tej rdzennej i tej po awansie) jest niesłuszne, a nawet anachroniczne. Przesłanka, na której Dzewisz opiera ten wniosek, wydaje mi się mocno podejrzana. Pisze mianowicie, że „środowisko kandydata na uczelnię nie ma dziś prawie żadnego znaczenia, a wobec tego można mówić o równym starcie młodzieży miejskiej bez względu na jej społeczne pochodzenie. Aż dziwi bierze, skąd u wro-

ga znumifikowanej statystyki, takie mechaniczne rozumowanie. Ponieważ istnieje obowiązek powszechnego nauczania, a szkoły są bezpłatne — wszyscy mają równe szanse. Ponieważ w miastach są kina, teatry, biblioteki, opery, domy kultury, cyrki a nawet ekspresywno nauczanie śpiewu w parkach dla mas — wszyscy mają jednakową szansę uczestnictwa kultural-

jak ten równy start wygląda. Jedno dziecko przywozi do szkoły ojciec własnym samochodem, wprost z eleganckiego pokoju, a drugie uczy się w ciastoci, bez własnego karta, przy akompaniamencie krzyku młodszego rodzeństwa. Nie sądzę, żeby to pierwsze dziecko było robotniczego pochodzenia. Jedno dziecko ma korepetytorów, korzysta z pomocy ojca przy nauce, ojca z „chodami”, a drugiemu nikt w nauce nie pomoże. Jedno wyrasta w spokojnej i eleganckiej dzielnicy, drugie w atmosferze ulicy, jedno w atmosferze akuratał przeciętnej. To są sprawy jasne, choć może jeszcze niezbyt dostrzegalne z wysokości wyższych uczelni. Wyrównywanie szans życiowych, to proces długi, parają się z nim nie od dziś nasi nauczyciele i wychowawcy.

Po cóż więc opowiadać pięknie i urzekające bajki o równych szansach naszej młodzieży? Tak dopiero będzie.

Mateusz Dzewisz jest — jak sądzę — trochę niecierpliw, napisał swój felieton o ładnych kilka lat za wcześnie.

Za wcześnie, kwiatku, za wcześnie

ZENIT nad FORO ITALICO

■ Z polskiego punktu widzenia

■ Cztery „typy“ Zatópka

■ Wcieniu maksymy barona Coubertain

■ Nie wioska olimpijska lecz nowoczesne miasto

■ „Naukowość“ polskiej ekipy, czyli dlaczego jedna panna wybrała lekkoatletę?



Barbara Janiszewska — najszybsza kobieta Polski w Rzymie pretenduje również do tytułu Miss Olimpiady

WIESŁAW KACZMAREK

Olimpiada wywarła w świecie o wiele większe wrażenie niż można było oczekiwać. Stało się to tak chyba dzięki fantastycznemu poziomowi wyników i... transmisjom telewizyjno-filmowym, praktycznie przekazującym relacje na wszystkie kontynenty. To, o czym ludzie dotąd tylko słyszeli lub czytali, dziś mogą również zobaczyć. Nie wyobrażam sobie, aby kompletnego nawet ignorantą sportu mógł nie zafascynować fenomenalny bieg amerykańskiego „motykarza“ Dave Gillanders, w sztafecie 4 x 100 m stylem zwiennym. Płynął jak ślizgacz i zdawało się, że tylko dla formalności ma kontakt z wodą. Albo skoki z trampoliny w wykonaniu Niemki Ingi Kramer — to już jest sport na poziomie wysokiej klasy baletu.

Jednakże ile by się nie wypowiedziało słów zachwytu o pierwszym tygodniu Igrzysk, naprawdę było to za ledwie preludium. W środę weszła na arenę „królowa sportu“, lekkoatletka i dopiero obecne Olimpiada nabrała pełnego smaku. Także z polskiego punktu widzenia Igrzyska osiągnęły swój szczyt dopiero w środę, kiedy na Foro Italico pojawili się członkowie naszego „wunder teamu“. Od niego oczekujemy najsilniejszych wzruszeń i największych sukcesów.

I odtąd wszystko, nawet ring Palazzo dello Sport, na którym polscy bokserzy spisują się nadszperkownie dobrze, usunięty zostanie w cień wydarzeń lekkoatletycznych.

Podniecenie osiągnęło swój punkt kulminacyjny. Zdenerwowanie powiększają rocznego kal'bru wróżbi i rzeczywiści eksperci, od których żąda się natychywie określenia kolejności na mecie biegów, na podium zwycięzców rzutów i skoków. Zamęt jest oszłamiający. W „Przeglądzie Sportowym“ Emil Zatópek przewiduje zwycięstwo Krzyszkowiaka w biegach na 5 i 10 km. W zachodnioberlińskim „Der Abend“ ten sam Zatópek opowiada się za Hansem Grodótzkim. W „Daily Worker“ pierwszeństwo dał Anglikowi Pirie, a w „The Woold Sport“ — Nowozelandczykowi Halbergowi. A naprawdę trudno uwierzyć, aby ten rozumny człowiek zaryzykował swój autorytet dla wytypowania zwycięzcy. To należy już do sztuki chiro-

mantów. Można mówić o szansach, niepodobnym jest typować kolejność. A szanse mają wszyscy, którzy przybyli do Rzymu. Nikt, lub prawie nikt nie funduje swym sportowcom ubiorów i kosztów podróży na Igrzyska tylko w celu uhonorowania podniosłego apelu barona Coubertain.

Na wielkich tablicach świetlnych Foro Italico wypisano cytaty z ideowej deklaracji tego twórcy nowoczesnych Igrzysk: Nie zwycięstwo, a udział w Olimpiadzie jest prawdziwym celem“ i brzmiał to dość obłudnie. Podczas wyścigu kolarskiego na 100 km. zastąpił, a następnie po przewiezieniu do szpitala zmarł Duńczyk Knut Elmark. Oficjalnie podano do wiadomości, że przyczyną zgonu był udar słoneczny. Ale w szpitalu znaleźli się także i drugi członek tej ekipy Jørgen Jensen i to nasunęło prokuratorowi rzymskiemu podejrzenie, iż obydwaj używali środków podniecających. W tej sprawie prowadzi się dochodzenie. Nie jesteśmy jednak aż tak naiwni i nie spodziewamy się, aby jego rzeczywiste wyniki zostały kiedykolwiek podane do wiadomości publicznej. W tej sytuacji nie ma na maszcie reprezentacji Dani, lecz na tablicach z hasłem olimpijskim winna zawisnąć czarna flaga, albo wtem idea Igrzysk została śmiertelnie ugodzona.

Dramatów jest zresztą bez liku, choć całkiem innego, na szczęście, gatunku. Kontuzje, nieszczęśliwe wypadki drogowe psują pogodny, radosny nastrój Villa Olimpico, gdzie ulokowano blisko 8000 uczestników Igrzysk. To już nie wioska, to prawdziwie, najbardziej nowoczesne miasto wyposażone we wszystkie szykany techniki. Około 2000 surowych cerberów pilnuje dostępu do tej oazy sportowej, czym żywo przypominają antyczny zwyczaj zupełnej izolacji miejsca pobytu olimpijczyków. Dla wszystkich są więc Igrzyska przebarwnym karnawalem młodości, zdrowia i siły, tylko nie dla samych uczestników, zobowiązanych do zakonnego reżimu, dygocących tylko odpowiedzialnością za swoje wyniki.

Czy będą one pomyślne dla nas? Oto pytanie dnia, w chwili, gdy na start ruszają polscy lekkoatleci. Stanowią oni najliczniejszą grupę, jaką kiedykolwiek wystawialiśmy. Jest to chyba także najbardziej „naukowa“ ekipa, jaką wystawialiśmy. Na 51 naszych reprezentantów 37 legitymuje się dyplomami wyższego wykształcenia. Reszta ma cenzus szkoły średniej. Kto więc może temu właśnie faktowi zawdzięczać tak bujny rozkwit polskiej lekkoatletyki? Zachodzi chyba jakiś związek między rekordowymi wynikami a ogólnym przygotowaniem umysłowym. Opowiadał kiedyś, że pewna lekkoatletka była postawiona przed koniecznością wyboru pana swego serca. Kandydował lekkoatleta i wybitny piłkarz. Zdecydowała się na lekkoatletę i tak uzasadniła to futbolistą:

— Widzisz, on już za rok będzie inżynierem chemii, a ty nadal tylko piłkarzem.

To daje do myślenia i to pozwala wierzyć również w pomyślne wieści z Rzymu.

Rekordzista i jego nauczyciel



Józef Schmidt — rekordzista świata i faworyt trójskoku w Rzymie



St. Starzyński — twórca nowego stylu tej konkurencji, opiekun polskich trójskoczków



Za 2 lata Ela Krzesińska będzie lekarzem. Kim będzie za tydzień? — Złotą, srebrną, brązową medalistką?...

Mgr Zygmunt Szelest śmieje się pogodnie jeszcze przed finałami rzutu oszczepem. Ma dwa atuty: Urszulę Figwer i Janusza Sidło. Jak nie Urszula, to Janusz. A może obaj?...



Nawet w wiosce olimpijskiej Sidło nie rozstaje się z książką. Kończy przygotowania do egzaminów magisterskich.

Zdjęcia: GERARD PUCIATO

odgłosy str. 3

PIWO



Kiedy właściwie wynaleziono piwo? Legenda głosi, że wynalazcą piwa był Gamberius, król Flandrii. Może chłód depresyjnych nizin holenderskich spowodował, iż łaskawie panujący król Gamberius zatrudnił się o zdrowie swoich wierzchni zakatarzonych poddanych i ofiarował im wyborowy napój rozgrzewający? Jednakże docieklive badania historyków wykazały co innego.

Dzieje powstania piwa sięgają w bardzo odległe czasy, do Babilonii, gdzie napój ten był już znany. Rzecz charakterystyczna — wyrobem piwa zajmowali się przeważnie kapłani. I właśnie oni — posiadają źródła historyczne — stosowali piwo na różne cele: jako lek „napojem bogów” zwany. Po trzy litry najlepszego piwa dziennie przyznawano damom dworu oraz funkcjonariuszom państwowym, zaś po pięć litrów otrzymywali najwyżsi dostojnicy.

Jakie są dalsze dzieje piwa? Od Babilończyków umiejętność warzenia napoju przejęli Egipcjanie, potem Żydzi, później Grecy, a w końcu Rzymianie.

Czasy panowania Rzymian, to właściwie upadek rozwoju piwowarstwa. Uważali oni bowiem, że piwo jest napojem barbarzyńców, spożywanym przez niewolników i ludy podbite. Tacyt wspomina nawet, że północni Barbarowie — Gości poznali tajniki warzenia piwa i nazwali go „biur” (późniejsze „bier”). Od Gotów umiejętność ta przeszła na inne ludy germańskie, a z czasem przedostała się do innych krajów Europy, między innymi do Polski.

„Chłopy postawne jako te żubry”

Kierownik Browaru nr 1 przy ul. Nowotki, p. Roman Knop, jest wysokim, postawnym mężczyzną o basowym głosie. Patrząc na niego przypominamy sobie mimo woli słowa imię pana Reja z Nagłowic, który powiedział: „Tylko w krajach jak w Polsce, gdzie cebrem piwo się pije, a pani matka w sześciu niedzielach donicę z grzankami piwa wychyli, rodzą się chłopy silne, a postawne jako te żubry”.

— Ja jestem jeszcze za młody — powiada kierownik

Knop — żeby mówić coś o piwie. W browarnictwie pracuję dopiero... dwadzieścia lat.

Kierownik jest człowiekiem skromnym, posiada już bowiem swoje zasługi w dziedzinie piwowarstwa. Ale w tym co mówi jest pewna racja. Przecież piwo w Polsce znane już było za czasów pierwszych Piastów.

Nie kto inny, lecz właśnie Bolesław Chrobry był zwolennikiem i propagatorem tego trunku. Jego następcy, pragnąc upowszechnić wyrobę piwa, nadawali miastom przywileje wytwórcze. Pierwszy taki przywilej nadał książę Przemysław w roku 1295. Jagiellonowie, chociaż w polityce zagranicznej różnili się od Piastów — jednak pod pewnym względem całkiem się z nimi zgadzali: lubili piwo.



Za czasów saskich na dworach królewskich, magnackich i szlacheckich podawano do stołów tyle piwa ile kto chciał wypić. Jako że nie jest tajemnicą, iż w tamtych czasach naród był bardziej „trankowy”, przeto można śmiało przytoczyć zdania ówczesnych mistrzów piwa, którzy twierdzili, że beczka piwa dla dobrej kompanii starczała na jedną do dwóch godzin.

Wielki popyt okazał się jednak niebezpieczny, spowodował bowiem upadek jakości trunku. Przywileje rozdawane były na prawo i lewo. Chyba właśnie te „lewe” przywileje najczęściej szkody wyrządziły. Za piwowarstwo brali się częstokroć ludzie, nie mający o tej sztuce najmniejszego pojęcia. Stąd płynęła mędra pierwsza dla Polaków: wykształcone kadry są podstawą jakości.

Dopiero w 1834 roku reaktywowany został Cech Piwowarów, stawiający wyżej jakość wytwarzanego trunku, niż wątpliwe wartości ilościowe.

Jak to mistrz „portkami siadał”

Popijamy sobie piwo (ale jakie piwo!) w browarze nr 1 i słuchamy co nam mówi inżynier Leon Nowakowski, łodzianin z dziada pradziada, pracujący w browarach od 1949 roku (n. b. inż. Nowakowski dyplom magisterski robił na Politechnice Łódzkiej).

— Nie wiem czy panowie znacznie umowę między Księżną Wojewodziną Braclawską, a piwowarem.

— Istotnie, nie znamy.

— Piwowar w majątku magnackim był ceniony bardzo wysoko, dostawał m. in. od wojewodziny portki skórzane, całe wiadra ryb, zboże i temuż podobne. W zamian za to musiał co jakiś czas „kominy wychodzić” (daj pan spokój!) no i dobre piwo warzyć.

Później inżynier opowiedział nam o starodawnej próbie gotowości brzeckiej piwnej do warzenia smacznego trunku. Mistrz siadał w skórzanych portkach na ławie dębowej na której rozlewano brzeckę. Jeśli ława po pewnym czasie „wstawała” razem z nim — znaczyło to, że brzecka jest odpowiednio nasłodzona, a piwo będzie gęste i mocne.

O rzeczywistej wartości piwa

Nie wszyscy zapewne wiedzą, iż wartość odżywcza 1 litra normalnego piwa równoznaczna jest wartościom odżywczym 210 gramów chleba, 568 gramów ziemniaków, 940 gramów jabłek, 64 gramów masła, 570 gramów mleka z o-sobna. Pragnąc otrzymać taką samą ilość kalorii, jaką daje litr zimnego piwa, należałoby wypić 20 litrów w 80°C wody gorącej, która jednak nie da tego rezultatu odżywczego co piwo. Jeden litr piwa daje średnio około 500 kalorii, to jest 12,5 do 25 proc. ogólnego zapotrzebowania dziennie dorosłego człowieka wagi 70 kg w zależności od wykonywanej przez niego pracy. Tak więc 4 do 8 litrów piwa dziennie mogłoby teoretycznie wystarczyć do utrzymania organizmu ludzkiego przy życiu.

— Niestety — stwierdzamy z ubolewaniem — jest wiele restauracji w których piwo niezdatne jest do picia, a eksportowe gatunki są rzadkością.

Inż. Nowakowski wyciąga z szafy butelkę wypełnioną do połowy mętnym, cuchnącym płynem.



— Czy wiecie co to jest?... To po prostu efekt jednorazowej kontroli aparatów bufetowych w restauracji „Pod szewczykiem” przy ul. Nowotki. W węży prowadzącym od beczki i w aparatach osiadało tyle brudu, że wystarczył jeden ruch wycioru, aby uzyskać tak wielką ilość obrzydliwej cieczy.

— Dodać do tego należy — wtrąca kierownik browaru — że personel Łódzkich Zakładów Gastronomicznych w ogóle nie jest wyszkolony w dziedzinie pielęgnowania tego szlachetnego napoju, który jest bardziej wrażliwy niż jakikolwiek inny trunek świata. A więc kufle są niedomyte, a tłuszcz i odciśki warg są wrogiem piwa, niszcząc pianę i powodując przykry smak. Butelki są trzymane na świetle promieni słonecznych — to wszystko wpływa ujemnie na smak.



Przed wojną na głowę przypadało w Polsce 3,5 litra piwa rocznie. Obecnie przypada ponad 20 litrów — a w niektórych okęgach, jak np. na Śląsku — do 30 litrów. Polska staje się powoli krajem piwoszów. Łódź zaś wspina się z wolna po wykresie spożycia piwa z miesiąca na miesiąc.

W 1933 roku Browar nr 1 (ówczesna własność spadkobierców Anstadta) produkował 15.800 hektolitrami rocznie. W 1953 roku liczba ta urosła do 91.000 hektolitrami — a w 1960 roku do 96.000 hl.

Mamy oczywiście do „pokonania” poważną konkurencję — pierwsze miejsce w spożyciu piwa w Europie zajmuje bowiem Belgia, a drugie Niemcy, kraje — jak wiadomo — posiadające wielowiekową tradycję prymatu w spożyciu „napoju bogów”.

Słychać bardzo często narzekania na brak piwa, na



słabą jakość produkcji niektórych browarów. W tym miejscu trzeba wspomnieć koniecznie o niskiej wartości parku maszynowego wielu wytwórni piwa w Polsce. Niektóre browary pamiętają wprost czasy „króla Cwiczka”... no a w tych warunkach trudno mówić o połączeniu wydajności ilościowej (w odpowiedzi na zapotrzebowanie) z wydajnością jakościową (w odpowiedzi na wzrastające „dobre gusta” konsumentów). Ku zmartwieniu łodzian możemy dodać, że 1/4 produkcji wysmienitego piwa „Krzepkiego” Browar nr 1 wysyła do... Warszawy, Władom — stołca!

Oprócz licznych eksportowych gatunków piwa (wśród nich szczególnie lubiane „Smichow”, „Pilsner” i „Radeberger”), możemy popijać od czasu do czasu doskonałe piwa krajowe. Oczywiście w tym celu trzeba udać się do Warszawy („Grodziskie”), do Wrocławia (eksportowe „Dark beer”) itd. itd.

Całe szczęście, że od czasu do czasu do „kopciuszka” — Łodzi przywożone jest znakomite piwo żywieckie — a więc „Beskidzkie” i „Ful beer”.

Powważne ostrzeżenie

Jak wykazały ostatnie badania, piwo spożywane w nadmiernej ilości prowadzi do nałogu alkoholizmu. Wszystko bowiem co jest nadużywane nie może iść na zdrowie. Zwłaszcza przy piwie, które posiada pewną zawartość alkoholu, łatwo wpaść w niebezpieczny nałóg. Piwo jest tańsze od wódki, piwem wprowadzają się pijący w ten stan zamroczenia, którego nie udało im się osiągnąć przy wódce. Jak się to mówi — piwem „doprawiają się”. Stąd owe obrzydliwe scenki, któ-



rych ciągle jesteśmy świadkami przy budkach z piwem lub w pijalniach piwa. Bufety z piwem otaczają chwilejące się postaci, zalatuje stamtąd smród stęchłego alkoholu, słychać bełkot pijackich głosów i rozpoczynające się awantury.

Piwo jest zdrowe — dla tych, którzy piją je kulturalnie, z umiarem. Piwo jest niebezpieczne dla tych, co go nadużywają. W pijalni piwa na Piotrkowskiej oglądając można nałogowych alkoholików usprawiedliwiających się przed sobą samym „że oni tylko piją piwko”. Całymi dniami obiegają bufet, piją butelkę za butelką, kufel za kuflem — od południa do wieczora. Wracają do domu pijani. Nieustannie wprowadzanie do organizmu nawet niewielkiej ilości alkoholu jest nieraz o wiele niebezpieczniejsze niż jednorazowe wypicie dużej ilości wysokoprocentowego alkoholu.

Cóż więc czynić? Jest tylko jedna rada: pić kulturalnie, nie systematycznie. Niestety z kulturą picia jest u nas ciągle nienajlepiej, albowiem nie umiemy niczego robić z umiarem.

Dlatego też wzrost ilości piwa jaki zauważa się w Polsce — nie jest chyba dobrym zjawiskiem. Radosny okrzyk: „Polska staje się krajem piwoszów” może oznaczać nowe, wielkie niebezpieczeństwo,



"OPERATION HIMMLER"

"Ja sam stworzę pretekst do rozpoczęcia wojny. Obójne czy będzie on wiarogodny. Gdy przystępuje się do wojny, chodzi nie o prawo... Nie dopuście do sere liłości. Postępujcie brutalnie!"

Te słowa padły w Obersalzbergu, w dniu 22 sierpnia 1939 roku. Wypowiedział je Adolf Hitler, a słuchali członkowie Oberkommando der Wehrmacht, Führer kontynuował:

"Zniszczenie Polski jest sprawą najważniejszą. Chodzi o wyeliminowanie żywych sił, a nie osiągnięcie pewnej linii. Postaram się o propagandową przyczynę rozpoczęcia wojny. Obawiam się tylko, żeby w ostatniej chwili jakiś Schweinhund nie wystąpił z propozycją

Nie pomagały również wysiłki śląskiego „Freikorpsu” złożonego w przeważającej mierze z członków dwóch działających oficjalnie w Polsce niemieckich organizacji: Jungdeutscherpartei oraz Deutscher Volksbund. Ich akcje podjęte na polskie posterunki celne w Makoszowach i Gieraltowicach przyniosły, dosyć skromny „rezultat”: ciała dwóch zastrzelonych przez niemieckich dywersantów celników; nie ma się czym chwalić przed zagranicznymi dziennikarzami, nie było można

się sztuk naboł, hitlerowskie ulotki propagandowe oraz setki opasek z „hackenkreuzem”. W Sierakowie, w piwnicy jednego z domów, gdzie mieszkali Niemcy, Polska Policja Państwowa wykryła 5 ręcznych karabinów maszynowych, kilkadziesiąt pistoletów, puszkę z dynamitem oraz nitrogliceryną.

Wreszcie doszło do olbrzymiego blamażu: w dniu 25 sierpnia Radio-Berlin, a za nim geobbelsowska tuba prasowa — „Völkischer Beobachter” podały, że „zbrodnica polska ręka dokołał wczoraj podpalenia majątków ziemskich dwóch obywateli niemieckich — grafa von Goltz oraz barona Raabe”.

Je lat była okryta tajemnicą stanu „Tysiącletniej Rzeszy”, i została ujawniona dopiero na procesie norymberskim przez samego Alfreda Helmuta Naujocksa.

Ale wtedy jedynie sekretarka Heydricha mogła zauważyć, że na tecze, którą pod pachą po wyjściu z gabinetu trzymał Herr Sturmbahnführer strannie wykaligrafowano: Sender Gleiwitz.

Dla Naujocksa słowa te znaczyły: OPERATION HIMMLER, a dla świata — ów PRETEKST.

Ludzie, którzy krążyli tego dnia po ulicach Gliwic nie podejrzewali nawet, że decyzja już zapadła. Wprawdzie przejścia graniczne zamknięto, a w lasach obok Toszka i Bojkowa, wzdłuż linii granicznej z Polską lokowały się coraz to inne oddziały wojsk niemieckich, nikt jednak z ówczesnych mieszkańców Gliwic nie wie dział, że właśnie tutaj będzie początek.

Nawet ludzie Naujocksa nie byli świadomi celu swojej akcji. Tylko Sturmbahnführer wiedział że Canaris i spółka z Abwehry skrupulatnie przygotowywali szczegółowy „makijaż” — „operacji Himmler”. Tak. Na ten temat zeznawał przed Trybunałem Międzynarodowym w Norymberdze hitlerowski generał, członek Abwehry, Erwin Lah ussa. Cytuję według stenogramu:

Prokurator:
— Czy Abwehra miała jakiś udział w przygotowaniach napadu na Polskę?

Świadek:
— Tak, głównie w akcji, której nadano kryptonim „Operacja Himmler”.

Prokurator:
— Na czym to polegało?

Świadek:
— Jednostka 01 Abwehry dostała polecenie zdobycia polskiego umundurowania broni, oraz dokumentów. Rozkaz ten został wydany admiralowi Canarisowi prawdopodobnie przez Oberkommando der Wehrmacht, chociaż być może stało za nim Gestapo. Nazwisko Himmlera mówi samo za siebie...

Prokurator:
— Komu Abwehra miała dostarczyć wyposażenie polskich żołnierzy?

Świadek:
— Odebrali je ludzie z SS. To znaczy Sturmbahnführer Alfred Helmut Naujocksa i jego podwładni.

Krąży wokół miejsca, gdzie 21 lat temu rozpoczęła się II-ga wojna światowa. Miejsce — „Operation Himmler”. Niewiele się tutaj zmieniło: żelazny radiowy maszt stoi jak stał tamtego lata, widzę chyba tak samo zakurzoną ławkę, dalej na horyzoncie skraj wiatłogo jak wszystko co zielone na Śląsku, zagajnika, jeden, drugi budynek i dachy bliskiego osiedla.

Ludzi, którzy 31 sierpnia 1939 roku mieszkali w Gliwicach przy ul. Tarnogórskiej, przepraszam — wówczas Tarnowitzerstrasse, nielawto obecnie odnaleźć w polskich już Gliwicach. A jednak... Matylda Gremberg twierdzi, że to był czwartek.

— Taka była ładna pogoda, że siedzieliśmy do późna wieczór z moim starym na podwórku. Dopiero około 10 gdzieś blisko huknęło, a potem krzyk i nasz sąsiad Pyszka mówił, że z radia po polsku zaczęli mówić...

Pani Matylda się myli. Tuż przed godz. 20 ulicami śród miścia zaciemnionych Gliwic przemknęły dwa ciężorowe samochody w stronę bliskiej granicy polsko-niemieckiej. Punktualnie o godz. 8 ludzie Sturmbahnführera Naujocksa przystąpili do wykonywania rozkazu, który wydano właśnie w owym zacisznym gabinecie przy Wilhelmstrasse w Berlinie. SS-mani zatakowali radiosta-



Na krótko przed rozpoczęciem wojny z Gliwic i Zabrze wysiedlono przemocą blisko 30 tys. obywateli polskich. Kto nie chciał opuścić mieszkania dobrowolnie, zostawał siłą wraz z rzeczami wyrzucany na bruk

cję gliwicką. Wszystko było precyzyjnie obmyślane: polskie płoszenie żołnierskie splewane podczas jazdy jak można było tylko najgłośniej, paru przestępców wyciągniętych z miejscowego więzienia i ubranych w polskie mundurki, zmasakrowane zwłoki jednego z więźniów, kilka rewolwerowych wystrzałów i —

— Ręce do góry! Niemiecka obsługa rozgłośni posłusznie uniosła ramiona. Podłączenie zapasowego nadajnika było tylko kwestią chwili. Speaker gardłowym głosem rozpoczął odczytywać komunikat, który był jednogłośnie odezwą:

„Bracia Ślązacy, Mówi do Was Polskie Radio Gliwice. Wzywamy Was do broni. Precz z hitlerowskim najeźdźcą! Idziemy wyzwolić Wrocław. Niech żyje Polska!”

Od miasta, z wyciem syren zajeżdżały pod Radiostację policyjne wozy. Jeszcze kilka strzałów i ludzie z „Operation Himmler” rozplynęli się w ciemnościach wieczoru.

Zostawiając „dowody rzeczowe polskiej zbrodniczej agresji”.

JUŻ O GODZ. 21 DEUTSCHES NACHRICHTENBURO ROZPOCZĘŁO NADAWANIE SPECJALNEGO KOMUNIKATU, KTÓRY W ZAKOŃCZENIU STWIERDZAŁ: „ZBROJNY NAPAD NA GLIWICKĄ ROZGŁOSNIĘ MIAŁ BYĆ SYGNAŁEM DO GENERALNEGO ATAKU NA ODWIECZNE ZIEMIE NIEMIECKIE”.

NAZAJUTRZ „VOLKISCHER BEOBACHTER” MÓGŁ STWIERDZIĆ: TO POLACY ZŁAMALI POKOJ!

„Ja sam stworzę pretekst do rozpoczęcia wojny — powiedział Hitler”. I PRETEKST ZNALAZŁ.



To zdjęcie pochodzi z Bydgoszczy. Sfingowany przez Kolumnę mord na kilku obywatelach niemieckich przypisano Polakom. Oczywiście nie omieszkując wykorzystać tę sprawę dla celów propagandowych. Na zdjęciu — niemieccy dziennikarze „w akcji”

mediacji. Poczyniłem już przygotowania polityczne, droga dla żołnierza jest otwarta”.

Postaram się o propagandową przyczynę...

Sprawa nie była jednak prosta. Polacy wzdłuż całej linii granicznej z Rzeszą zachowywali zimną obojętność. Tylko wzmoczony ruch patroli wskazywał, że mają się na baczności. Ale nawet pojawienie się na wprost Westerplatte niemieckiego okrętu liniowego „Schleswig-Holstein” nie wytrąciło ich z równowagi.

wobec świata oskarżyć Polaków o agresję.

Wręcz odwrotnie. „Freikorps” ponosił nawet dotkliwe straty. W aktach katowickiej jednostki polskiego kontrwywiadu odnotowano: 23 sierpnia 1939 roku zdemaskowano i aresztowano niejakiego Hansa Thiena. Dowodził komórką dywersyjną, a u jej członków podczas rewizji znaleziono materiał wybuchowy. W dwa dni później — 25 i 26, doszło do wykrycia w jednej z miejscowości powiatu rybnickiego tajnego magazynu broni. Skonfiskowano broń maszynową, kilkadziesiąt ty

Tymczasem — wieś Czajaków n! powąchała aymu!

TAK WIĘC PRETEKSTU CIĄGLE NIE BYŁO...

Jeden z ostatnich dni sierpnia 1939 roku, Berlin, ciężki budynek rządowy przy Wilhelmstrasse, zaciszny gabinet. Osoby: Obergruppenführer — partei genosse Heydrich i Sturmbahnführer SS — Alfred Helmut Naujocksa.

Treść rozmowy, jaką ci dwaj mężczyźni przeprowadzili między sobą, przez wie

W pewnym amerykańskim instytucie badania opinii publicznej przeprowadzono następujący eksperyment:

Oto do wzięcia udziału w interesującej imprezie zaproszono szereg kobiet, przeważnie gospodyń domowych. Termin rozpoczęcia imprezy rozmyślnie opóźniono a oczekujące kobiety, w miarę jak nadchodziły, gromadzono w poczekalni. Nie była to jednak „zwykła” poczekalnia. Składała się mianowicie z dwóch sal — jednej w stylu nowoczesnym i drugiej — urządzonej tradycyjnie, z pluszowymi kanapami, figurkami, serweteczkami, itd. Każda z kobiet oczekujących na imprezę, mogła zatrzymać się w jednej lub drugiej sali, najzupetniej dowolnie.

Niemal wszystkie kobiety zgromadziły się w nowoczesnej części poczekalni. A gdy po imprezie zapytano je za pomocą ankiety, którą izbę uważają za ładniejszą, wszystkie odpowiedziały, że... oczywiście tę tradycyjną. Dlaczego więc nie tam oczekiwały? Bo wyglądała zbyt odświętnie...

Powyższa historia, opowiedziana w większym gronie, stała się powodem dyskusji, którą publikujemy niżej. Wzięci w niej udział: historyk sztuki, socjolog i dziennikarz.



Od Rafaela do telewizora

Tekst:
JULIAN BRYSZ
Zdjęcia:
PAWEŁ NOWAKOWSKI



Bilet w bierze udział
w KONKURSIE
Miejsu Kobiety
i P.S.S.

DZIENNIKARZ: Odwiedziłem niedawno pana Tadeusza M. w jego warsztacie przy ul. Kilińskiego.

Pan M. jest jednym z nielicznych już przedstawicieli wymierającego rzemiosła — ramiarstwa. Razem ze swoim synem, którego również wykształcił w tym fachu, opracowuje on w rzeźbione i bogato złoczone ramy wszystko, co klientom się zamarzy. Tak więc — ślubne fotografie, jelenie na rykowisku i kotki w kąpielni, wędrujące potem na Zielony Rynek i plac Tamfańskiego, bohomyz „rodzinnych” malarzy, czasem wręcz dzieła uznanych artystów.

Pan M. jest mistrzem w swoim fachu — z precyzją zapinając drewno ramy w wymyślne ozdóbki, wie nieomyślnie, jaka rama dobrać, po znajomości gustu swego klienta.

Klienci mieszacami nie odbierają swoich obstatunków, czasem wręcz zostawiają panu M. wolną rękę w „upłynięciu” przyniesionych obrazów. Bohomaz z jeleniem w liliowym lesie kosztuje tam 280 zł. (rama — 150, „dzieło” — 130), obraz malarza z lepszemu nazwiskiem — do 500 zł (też razem z ramą). Raz nawet jacyś wojacy nabyli do świetlicy olbrzymią kopię któregoś Kossaka za całe 2 tysiące.

Warsztat pana M. wygląda

więc raczej jak swego rodzaju antykwariat, gdzie Chrystus w szkarłatnych szatach otwiera serce vis a vis żaglowca na splecionych falach koloru soku malinowego, a dzielni szwoleżerowie szarżują kolubryny wymierzone wprost w sielankę rusalek na różowo — rudej polance. Krok dalej znowu spogląda na to ze zgorzaniem panna młoda ze ślubnej fotografii, zrobiona kredką na młodzieńki buziarek...

HISTORYK SZTUKI: „...ale ale... Czy pan się nie daje zbyt nośno słowom? To wcale nie jest takie zabawne. Z lekkim sercem, ba, nawet z sympatią, zdaje nam pan tutaj relacje z wizyty w świątyni szmiry najgorszego gatunku. Takie sklepiki z „obrazami” to wcale nie jakieś cudowne wysepki, to raczej aludujące sygnały. Jesteśmy zalani szmirą! Prywatnie „galerie sztuki”, rynekowi kramarze z „makatkami”, odpustowi handlarze gipsowych figur, sklepy z dewocjonaliami — wszystko to ten sam strumień.

Niech pan zagładnie do mieszkań i obejrzy rezultaty działalności nosicieli szmiry. Zobaczy pan pluszowe kapy, góry poduszek, serweteczki, owe oleodruki w złoczonych ramach, jakieś talerze z „saskiej” porcelany, którym udało się przetrwać co najmniej dwie wojny. Co gorsza, może to być zarówno mieszkanie niewykształconego robotnika, jak i „zaawansowanego” umysłowo inteligenta...

SOCJOLOG: „Warto tu zwrócić uwagę na tradycyjną

funkcję mieszkania, typową szczególnie przed wojną w środowisku drobnomieszczańskim a po części i robotniczym. Otóż, zwykle tam, gdzie mieszkanie liczy więcej niż jedną izbę (np. pokój i kuchnię), dzieli się ono na część mieszkalną i część „paradną”. W części mieszkalnej skupia się całe życie rodziny, zaś część paradna bywa użytkowana „od wielkiego dzwonu” (pomijając oczywiście jej funkcję jako sypialni w mieszkaniu dwuizbowym) — w czasie świąt, czy też dla przyjęcia gości. Zwyczaj ten został również przeniesiony — jak wykazały badania socjologiczne — do nowych osiedli mieszkaniowych. Pokój „paradny” otoczony jest szczególnie admiracją, co wyraża się głównie w nagromadzeniu tam ozdóbek. Paradoksalny i anachroniczny zwyczaj utrzymywania pokoju „paradnego” widzie się wprost z tradycji drobnomieszczańskich...

HISTORYK SZTUKI: „Niestety, nie tylko zwyczaj ale i gust. To właśnie jest najbardziej tragiczne, to zapewne zbyt producentom wszelkiego rodzaju szmiry.

DZIENNIKARZ: Jesteśmy wszyscy, zrodni co do tego, że zarówno produkcja szmiry jak i ów „drobnomieszczański” gust, zapewniający jej masowy zbyt — to zjawiska masowe. Można by zresztą uzupełnić rejestr „eksponatów” z tego gatunku przedmiotami produkowanymi na wielką skalę, jak np. kartki pocztowe, papeteria, czy wszelkiego rodzaju „ozdób-

ki” i zabawki sprzedawane w sklepach papierniczych, a nawet meble — ogromne, ciężkie, z tzw. „wysokim połyskiem”.

Zachodzi więc pytanie, czy powinniśmy poprzestać jedynie na słowach potępienia dla omawianych gustów i zaspokajającej je szmiry, czy też uznać to z uwagi na masowość za pewnego rodzaju ważne zjawisko, tak w dziedzinie sztuki, jak i życia społecznego?

SOCJOLOG: Z punktu widzenia socjologa ów rozkwit szmiry i fakt, że ludzie holdują tego typu gustom estetycznym, nie jest sam w sobie „tragedią”. Wiadomo powszechnie, że dla „konsumenta” o małym wyrobieniu estetycznym, dostępna jest jedynie sztuka tematowa. Sporo malarzy współczesnych tak daleko odeszło od zrozumienia tej sprawy, że trudno po prostu dziwić się, gdy w te „luke” weiska się szmira, bądź co bądź „realistyczna”. Nota bene, niewielu ludzi, nawet wykształconych, potrafi rozróżnić ziarno od plewy. Naszemu społeczeństwu brak kultury plastycznej.

Szerzenie się szmiry jest natomiast zjawiskiem groźnym i niepokojącym z innego powodu — stanowi widoma pozostałość i ślad dawnych przedziałów społecznych. Tak na przykład drobnomieszczaństwo przestało istnieć jako warstwa społeczna, ale nie jako ideał, do którego często usiłuje „wspiąć się” mentalność robotnika.

O ile więc zjawisko szmiry nie jest samo w sobie złem

absolutnym, o tyle choćby z przytoczonych „wyżej” względów, powinniśmy dążyć do wyeliminowania go...

HISTORYK SZTUKI: Powyższemu dowodzeniu trudno nie przyznać słusznosci. Dla mnie jednak, jako dla człowieka emocjonalnie związanego z dziełem sztuki i przeżyciem estetycznym, jest ono absolutnie niewystarczające. Szmirą jest zawsze szmirą i sama przez się stanowi zjawisko godne li tylko potępienia, obojętne z jakich względów.

Pozwól państwu, że cofnę się myślą nieco wstecz. Sztuka jest tak dawna, jak ludzkość, ale szmirą na wielką skalę pojawia się w niej dopiero w II połowie XIX wieku. Jej powstanie zawdzięczamy szybkiemu bogaceniu się ówczesnego górnego i średniego mieszczaństwa (a później także górnych warstw robotniczych), które swój awans społeczny pragnęło zamianować „posiadaniem” dzieł sztuki, będących dotąd w rękach arystokracji. Niestety, arcydzieł było niewiele, a ped do ich posiadania — ogromny. Znalaziono na to radę dzięki szybko rozwijającemu się przemysłowi, który zalał rynek seryjną produkcją tandety.

„Artystycznie” — jeśli o czymś takim w ogóle można mówić — szmirą wywodzi się od... Rafaela. Akurat w czasie narodzin szmiry dzieła Rafaela przeżywały swój renesans — to po pierwsze, po drugie zaś właśnie u tego wielkiego artysty można zau-

ważyć pewne akcenty „prześlodzenia” i cikliwości, co niezwykle odpowiadało szerokim odbiorcom. Pyzate aniołki z „Madonny sykstyńskiej” zostały powielone w milionach egzemplarzy na oleodrukach, serwetkach, talerzach i kto wie gdzie jeszcze. Rozpoczął się wielki pochód pozorów... Tylko, co to ma w ogóle wspólnego ze sztuką?

DZIENNIKARZ: A jednak wydaje się do dziś stanowić zjawisko... nieprzemijające.

SOCJOLOG: Można by je nazwać nieprzemijającym, gdybyśmy i dziś i dawniej przykładali maksimum wysiłku do jego wyeliminowania, a ono mimo to rozkwitało. Tak chyba jednak nie jest...

HISTORYK SZTUKI: Chciałbym przypomnieć przy najmniej nazwiska Ruskina i Williama Morrisa — najstarszych spośród wielu walczących przeciw szmirze w ubiegłym stuleciu. I w Polsce mieliśmy poważne przejawy tej walki — na przykład powstałe z początkiem naszego wieku stowarzyszenie „Polska Sztuka Stosowana”, które przyczyniło się wiele do podniesienia poziomu mebli, kilimów czy ceramiki. Jednym z inspiratorów tego ruchu był Stanisław Witkiewicz. Z tych tradycji wyrosły przedwojenne „Lad” i Instytut Wzornictwa Prze-





myślowego, które położyły niemałe zasługi na polu walki ze szmirą.

SOCJOLOG: Oczywiście, trudno tego nie dostrzec. Szkopuł jednak w tym, że większość ludzi najbardziej chłonnych na szmirę, z różnych przyczyn nie może stać się klientami nie przyciągającego ceną i atmosferą środowiska sklepu. Tych samych ludzi potrafią natomiast na odpustach, targowiskach czy zabawach ludowych odszukać handlarze gipsowych figurek czy makatek i wcisnąć im swój towar do ręki.

DZIENNIKARZ: Rzeczywiście, zacytowany przykład w pierwszej chwili czyni może wrażenie „drobnego”, skoro jednak przyjrzy się mu się uważnie, wykaże się swego rodzaju wzajemna „nieprzenikalność” dwóch światów — świata odbiorców szmiry i świata propagatorów dobrego smaku...

SOCJOLOG: Mogłoby się wydawać dziwne, dlaczego wraz z postępem społecznym i intelektualnym szmirą nie ulega automatycznie likwidacji. Można to tłumaczyć zjawiskiem „zwłoki kulturalnej” czy też opóźnieniami w „nadbudowie” w stosunku do zmian zachodzących w „bazie”, to jednak bodaj nie wszystko. Jak dotąd, najszerszemu odbiorcy kultury — robotnikowi, brak nowego modelu kulturalnego, jaki pod wieloma względami stanowiło „drobnomieszczaństwo”. Podczas badań prowadzonych przez nas na temat odbioru programu radiowego nie udało się nam wyrazić nie stwierdzić, by modelem tym mogła być inteligencja.

M. in. na skutek sytuacji materialnej inteligent nie może imponować robotnikowi, ten ostatni nie ma często ambicji „dopędzenia” go, nie odczuwa wobec niego żadnego „kompleksu niższości”. Inteligencja wreszcie nie posiada sama sprecyzowanego oblicza kulturalnego, hołduje albo gustom tradycyjnym znanego już rodowodu albo sztuce nowoczesnej, która z kolei nie ma żadnych szans przemówienia do masowego odbiorcy.

HISTORYK SZTUKI: Państwo nagromadziło tu same spozstrzeżenia, dotyczące utrudnień w walce ze szmirą. Ja jednak jestem optymistą i twierdzę, że mamy dużo szans. Coraz więcej jest szlachetnych w kształcie, barwie i fakturze wyrobów przemysłowych, taniej wydawnictw z dziedziny sztuki, dobrych reprodukcji malarskich, wystaw — to jednak robi swoje.

SOCJOLOG: Bez względu na to. Zachodzą także godne uwagi procesy społeczne. Na przykład telewizor jako nowy sprzęt wkracza na stałe do pokoju „paradnego”, czyniąc zeń miejsce stałego „urzędowania” domowników. Choć więc model gustu pozostaje nadal tradycyjny, to jednak wiele czynników mu przeciw działa...

DZIENNIKARZ: Odpada wreszcie w naszym społeczeństwie warunek egzysten-

cji szmiry — instytucja pozoru. Szmirą, która — jak tu się mówiło — zrodził pozór, toczy się dalej już tylko jakby „siłą rozpędu”...

SOCJOLOG: Pozostaje tylko pytanie — jak długo? Rozwijająca się cywilizacja techniczna rodzi nowe postacie szmiry. Także brak określonej grupy społecznej, która potrafiłaby kształtować smak pozostałych według swoich — oczywiście dobrych — gustów, stanowi jednak poważną przeszkodę...

DZIENNIKARZ: Trzeba by zatem, wobec takiego braku, skupić artystów i zapalonych społeczników wokół jakiejś już istniejącej lub nowej instytucji czy stowarzyszenia, które zdolne byłoby wydać walkę szmirze, lansując jednocześnie dobre wzory. Wielu podobnych inicjatyw jesteśmy świadkami i obecnie, ale nie mają one charakteru skoordynowanego, sięgającego w każdą dziedzinę życia.

Chciałbym też jeszcze zapytać, czy państwo nie mają nie przeciwko opublikowaniu naszej rozmowy, która stanowi przecież dość bogaty przyczynek do sprawy...

PS. Autor składa na tym miejscu serdeczne podziękowania prof. dr Mieczysławowi Wallisowi oraz doc. dr Antoninie Kłoskowskiej za uwagi, które posłużyły do napisania powyższego artykułu.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Dopiero w trakcie lektury przekonałem się, że podejmując się zrecenzowania „Okolic starych kolegów”, wdałem się w przedsięwzięcie niebezpieczne. Niebezpieczeństwo tkwi w tym, że dla ludzi w moim wieku książka Jażdżyńskiego*) jest opowieścią o nich samych. Każdy z nas, kto w chwili wybuchu wojny w 1939 roku miał lat siedemnaście, osiemnaście, czy coś koło tego, może z łatwością odnaleźć siebie wśród bohaterów tej powieści.

A zatem niebezpieczeństwo tkwi w sentymencie, w mgiełce rozmarzenia, z jaką z reguły spoglądamy za siebie, przenosząc się w najpiękniejsze lata wczesnej młodości. Tego zaś typu wzruszenia trudno na ogół odgrodzić w ten sposób, by nie mały nam kryteriów czysto artystycznych. Ale może to i lepiej? Może książki Jażdżyńskiego nie należy oceniać na zimno, w oderwaniu od historycznych i życiowych doświadczeń jego pokolenia? Podejmuję więc ryzyko subiektywnych deformacji, by przejść do bardziej rzeczowych rozważań.

Młodziść uczęszczająca do szkoły średniej w latach trzydziestych pozostawała pod przemożnym wpływem dwóch nazwisk: Żeromskiego i Piłsudskiego. Zestawiam te dwa nazwiska zupełnie świadomie wbrew przepaści różnic, jaka je dzieli. Pisarstwo Żeromskiego stanowiło najpełniejszą odpowiedź na artystyczne i społeczne zapotrzebowanie międzywojennej młodzieży. Cezary Baryka, maszerujący z czerwonym sztandarem na Belweder, doktor Judym widzący swą misję społecznika w wyrzeczeniu się osobistego szczęścia, Ryszard Nienaski, ginący z rąk „Mścicieli” — to były personifikacje wątpliwości, utopijnych marzeń i rozczarowań, jakim żyło to pokolenie. Na lekcjach polskiego toczyły się żarliwe dyskusje o „szklanych domach” i „rozdartej sośnie”, przedłużające się na czas przerwy między lekcjami i na popołudnia. Takie to były trudne sprawy ówczesnej młodzieży, uwikłanej w niewesołą polską rzeczywistość tych lat, daremnie szukającej dróg

wyjścia i oczywiście skłóconej ze starszą generacją.

Na specjalne omówienie zasługuje stosunek tejże młodzieży do osoby Piłsudskiego i do kultu dnia, wpajanego w szkołach od klas najniższych. Obóz piłsudczykowski, który od przewrotu 1926 roku opanował całkowicie węzłowe punkty życia społecznego, decydował oczywiście o obliczu szkoły i systemie nauczania. Obok ustalania programów szkolnych w duchu kultu Piłsudskiego i piłsudczyzny oddziaływano na młodzież poprzez byłych legionistów, peowiaków i członków Strzelca wśród nauczycielstwa. Wiele z tych ludzi w szczerzy sposób wierzyło w opatrnościowe posłannictwo Komendanta, łącząc naiwnie tę wiarę często z radykalnymi poglądami społecznymi. Piłsudczyzna była dla poważ-



nej części narodu silnym rusem, uniemożliwiającym prawidłową ocenę sytuacji w kraju.

Jeśli urzekającej na swój demagogiczny sposób ideologii „Pana Marszałka” ulegali starsi, to cóż dziwić się młodzieży, dla której legenda piłsudczykowska kryła w sobie romantyczny urok. Zreżimowana na użytek młodych umysłów, zdawała się zaspokajać naturalny dla tego wieku głód idei i pragnienie przygody. Przez szereg lat instrument ten grał znakomicie. Stopniowo jednak, w miarę zaostrzania się konfliktów społecznych w kraju i postępującej w ślad faszystyckiej rządu, w młodym pokoleniu poczęło się budzić zwątpienie. Już nie wystarczył szlachetny, humanistyczny utopizm Żeromskiego a kult Piłsudskiego stawał się coraz wyraźniej fasadą, za którą kryła się pustka. Wśród brzęczenia galówkowych przemówień i woni ka-

dzideł co samodzielnie myślący młodzieńiec przecierał oczy i zaczynał ostrzej, właściwiej oceniać świat go otaczający. Niemniej dla poważnej części patriotycznej i uczciwej młodzieży Wrzesień 1939 roku był tragicznym przebudzeniem.

Książka Jażdżyńskiego w szczególności plastyczny sposób traktuje o tych sprawach. Nie jest oczywiście społeczno-politycznym wykładem, a przecież problematyka ideowa przedwojennej młodzieży wylania się na każdym niemal kroku, gdy towarzyszymy przemilej grupie kieleckich gimnazjalistów w ich zabawach, kawalach sztubatkich i pierwszych miłościach. Szczególnego smaku dodaje powieści fakt, że rozgrywa się na terenie bezpośrednio związanym z Żeromskim i jego twórczością. O wielkim pisarzu mówi się tu jak o starszym koleźce. Topogra-

zagadnienia. Zastanawiamnie mianowicie, co wyniesie z lektury tej książki dzisiejsza młodzież, która kończyła szkołę średnią po wojnie, lub kończy ją obecnie. Wydaje mi się, że dobrze jej zrobi konfrontacja własnej problematyki z obrazem duchowym starszego pokolenia, zawartym w powieści Jażdżyńskiego. Pokolenie, które reprezentowane jest w „Okolicy” przez długie lata nie ukazywało szczerze swego oblicza, zakłamywało je politycznym frazesem, zamazywało własne potknięcia i rozterki. A przecież nie tak nie zbliża do zrozumienia, jak właśnie dobre poznanie się. Dopiero obraz przedwojennej młodzieży w jej zmaganiach z trudnymi zagadnieniami tamtych czasów, w jej pomysłach i poszukiwaniach właściwych dróg, budzi szacunek i sympatię.

Książka Jażdżyńskiego stanowi niewątpliwie przyczynek do szczerego samookreślenia się pokolenia ludzi dziś już w średnim wieku. Autor robi to chyba na użytek dzisiejszej młodzieży, o czym wyraża świadectwo tytuł: „Okolica starszego kolegi”.

Dla bogatej w treści ideowej wypowiedzi musiał Jażdżyński znaleźć adekwatną formę. Znalazł ją trafnie w dobrej, realistycznej prózie, nowoczesnej w słownictwie i prostocie obrazowania, ale czerpiącej jednocześnie z najlepszych tradycji literackich. Autor unika świadomie udziwniań i wszelkiej pozy. Intuicyjnie czuje, że każda tego rodzaju próba wprowadziłaby do jego relacji ton fałszywy. Zawierza więc dobrej polszczyźnie i wychodzi na tym jak najlepiej.

Debiut powieściowy Jażdżyńskiego jest niezmiernie interesujący. Każdy zaś rówieśnik autora po przeczytaniu „Okolicy” zgodzi się chyba ze stwierdzeniem: tacy byliśmy.



Wiesław Jażdżyński: „Okolica starszego kolegi”. Wydawnictwo Łódzkie, 1960

TADEUSZ GIERYMSKI

Sanatorium

Antyczność moja — samotność bez bólu. Tam dążę. Znam Urok sanatoriów w deszczu, mdły kraj niewolników Zatrzymanych na skraju życia. I greczyzna płochą. Codziennie słów różniec wydobytych z książek Na bęben pamięci nawlekam. Może więcej znam siebie Niż ty. I to mnie zmusza do milczenia. I urzeka. Zaraz czuję Słowa i gestu niewłaściwość. Bezradność wobec losu, Który jeśli jest niczym, jest wszystkim. Spory intelektów Ciekną jak kawa z ekspresu. Widziałem młodych, umęczonych, Pysznie lekliwych. Oni tęsknią za nagłą podróżą i Eksplozją Troi. Koturny, maski skrojone współcześnie. Nieraz błysnie chłopięcość gdy młodzieńca żona Z jesionki pył w niedzielne popołudnie zbiera W parku, gdzie stygnie czerwień w kanciastych neonach Spóźnionych drzew. Jeśli to tylko pretekst, To sanatorium w deszczu? Wiatr wczesnowiosenny Do okien białą krę przywiewa. Śpiewa współczesna Kora Pod chmur gimnazjonem. Co rozumiesz, starcze, Gdy mówisz „stary Goethe” i grozi mi ręką W epoce, która sfrząsa propozycje z drzewa Na blaszane rozumy? O dwugłowych stworach Przychodzą wieści ze świata. O synkopach lęku, O imporcie pastylek na miłość. Trzeba w porę Umieć odejść i zostać. Jak w wierszach poetów, którzy Nakluwają kręgosłup i odchodzą lekko, By w sanatorium przysiąść i pić zsiadłe mleko.

Con amore

Widział to wszystko. W nocy białą ścieżkę Wycina topór naszych ciał. Skaczymy w śmierć. Musset zapala zimne ognie. Wszystko. Trzymamy w rękach strzęp powietrza. I wciąż Ta pieśń atomów łędzie się powtarzać.

Dla ciebie nie inaczej. Widział moje oczy Może w twarzy meduzy lub ptasiej chimery Osadzone zbyt płytko. Patrzymy z uporem Na klęcza gwiazd. Żadna spaść nie może. Mrok Gęstnieje w galęzie. Na krawędzi snu Spotykam twoje ciało o różowym brzegu.

Szliśmy na koncert. Grano Beethovena. Zacieki złotych trąb po ścianach ciekła. Kolata do wrót los. Bezkrękiej Nike Wyrastają ramiona z symfonicznych fletów. Schodzimy z rusztowania muzyki. Jak łatwo Należć na niepewność pokrowiec wzruszenia. Ludzie idą do domów. I ty mnie prowadzisz Przez dźwięk zmiatanych ulic, przejechane światła.

Przedtem był prolog. To słońce Cezanne'a Ohwodziło twój profil gęstym srebrem dnia. Zielony foliał lasu past się na kolanach Pod linią horyzontu. Wiesz, puszy się łąka, Niebieski wiatr polyka twoje łoki. Petykam się o ptaki i jesienne pszczoły.

To jednak wszystko. Szept głosu nas straszny Strącany z gardła w ciemny potok czasu. To Leta płynie. Rośnie drzewo nocy.



Dalszy ciąg ze str. 1

Oczywiście, mamy również inne zajęcia. Na przykład amerykańscy kryminaliści i ich przyjaciele próbowali przysłużyć się rządowi: czterdzieści nowoczesnych samolotów nadleciało ze Stanów Zjednoczonych i zaparkowało nasze plantacje trzciny cukrowej. Oni myślą, że stanowią dla nich niebezpieczeństwo.

Wszystko to wchodzi w plany rządowe.

— Rząd kubański znacjonalizował 110 tysięcy hektarów należących do „United Fruit” i zapowiedział dalszą nacjonalizację 800 tysięcy hektarów, stanowiących własność różnych spółek zagranicznych. Jaka jest reakcja dawnych właścicieli tych

można jej zniszczyć. Rewolucja pozostawiła im część ziemi do pracy, ale jeśli zorganizują ruch antyrewolucyjny, mogą te ziemie stracić.

— Stany Zjednoczone dysponują środkami presji na Kubę: poszukują one innych rynków zaopatrzenia w cukier w przypadku, gdyby stosunki z waszym krajem miały się zaostriżyć. Czy rząd kubański rozważa taką możliwość po wygaśnięciu umowy na rok 1960? Jakie byłyby reperkusje ekonomiczne tego posunięcia, a w następstwie jak by to wpłynęło na sytuację polityczną kraju? Jakie środki przewiduje rząd, by zaradzić takiej ewentualności?

— W ostatnich latach kupowaliśmy w USA znacznie więcej i znacznie szerszy asortyment towarów niż oni, którzy nabywali od nas tylko cukier. Jeżeli przestana sprowadzać od nas, i my nie będziemy importować od nich. Konsekwencje będą szkodliwe i dla nas i dla nich. Jeżeli zaczną zaopatrywać się w cukier na rynkach światowych, to w ich eksporcie pojawi się luka równa wartości cukru, którego nie chcieli u nas kupić.

Zawarliśmy obecnie różne traktaty gospodarcze. Od początku zbiorów sprzedaliśmy już duże partie naszego cukru. Istnieje silne zapotrzebowanie, ludzie chcą cukru, a my go produkujemy po cenach zachęcających. Jesteśmy pewni, że unikniemy zasadniczych trudności, ponieważ nasz rząd zjednoczył się z rządem i gotów jest odeprzeć agresję w każdej formie. Błędem byłoby mniemanie, że w naszym przypadku agresja polityczna osłabiła

Czy mógłby pan sprecyzować swe stanowisko wobec komunizmu wewnątrz kraju, oraz w waszych stosunkach z krajami komunistycznymi?

— Reakcja zawsze starała się zagrywać na uczuciach antykomunistycznych, próbowała uformować opinię światową, przeciw komunizmowi. Jednocześnie kwalifikowała jako komunizm każdy krok rewolucyjny. Jest to taktyka, którą posługiwano się od czasu rewolucji radzieckiej. Jako komunizm określano wszelkie reformy społeczne w jakimkolwiek kraju. W ten sposób reakcja usiłowała stoperdować reformy. Niektóre koła określają komunizmem wszystko, co chcą.

Taktykę taką stosowali Hitler, Mussolini i Franco. Faszyści nazywali komunistami swoich wrogów i wykorzystywali nastawienie antykomunistyczne dla umocnienia rodzimej reakcji oraz własnych okrutnych rządów. Wykorzystywali też dla złamania oporu narodów, tak było we Francji, podzielono Francuzów, by ułatwić marsz armii niemieckiej. Hitler mógł później robić, co chciał, ponieważ reakcja w Anglii, we Francji i gdzie indziej zdemoralizowała zmysł krytyczny społeczeństwa.

Konserwatyści współpracowali z Hitlerem, uważając go za dogodnego, sprzymierzeńca w walce z komunizmem, i cieszyli się gdy napadł na Związek Radziecki. Ludy drogo zapłaciły za tę działalność reakcji w Europie.

Nasz rząd pragnie utrzymać dobre stosunki ze wszystkimi narodami świata, pragniemy pokoju ra

stkie określa, a — powłaczam — ona będzie sędzią.

— Ludzie z ulicy mówili mi, że ich rewolucja jest sprawą humanizmu. Czy odpowiada to twierdzenie pańskim osobistym odczuciom?

— Tak. Myślę, że każda rewolucja ma własne rysy charakterystyczne. To, co oni chcieli wyrazić odpowiada prawdzie, tym się właśnie charakteryzuje nasza rewolucja. Mamy własne środki i własne metody rewolucji. Chcę powiedzieć, że dokonaliśmy tych wszystkich zmian społecznych w sposób dla ludu przystępny i zrozumiały. Usiłujemy rozproszyć owe uczucie wyobcowania, próbujemy wykażać ludziom, że są tacy jak inni, próbujemy wyjaśnić im, co leży w ich interesie. Tak więc nasza rewolucja nie ma potrzeby uciekania się do przemocy, by realizować nowe zamiary. Zrobiliśmy wszystko, co można, by dokonać przewrotu bez przymusu. W dalszym ciągu nie zamierzamy używać siły i ufamy, że się to nam uda, pomimo pomocy udzielanej naszym wrogom przez USA. Chcemy dopełnić rewolucji z możliwie najmniejszą ilością ran.

Zorganizowanie wyborów wymaga wielkiego wysiłku. Kiedy będzie pan w stanie je przygotować?

Dlaczego nie zapyta pani o to ludu? Widzi pani, co się dzieje. W pierwszym rządzie musimy sprostać problemom społecznym i ekonomicznym, dopiero później przyjdzie kolej na polityczne. Polityka musi być oparta o nową bazę społeczną i gospodarczą, tak jak dawna polityka opierała się o starą bazę. Gdy bu-

stworzenie w naszym kraju prawdziwej demokracji, nie demokracji fałszywej z ludźmi głodnymi i nieświadomymi.

Kraje Ameryki Łacińskiej przejawiają głęboką niechęć do spółek amerykańskich, które eksploatują ich zasoby naturalne. Pański rząd jest pierwszym, któremu powiodło się zerwać te więzy eksploatacji. O ile, pańskim zdaniem, opinia publiczna narodów Ameryki Łacińskiej zaważy na losach ważego konfliktu z USA?

Istota urazy do Stanów Zjednoczonych jest fakt, że dokonując inwestycji wyłącznie w celu wyciągnięcia największych zysków i placąc przy tym najniższe uposażenia, poniżają ludność miejscową. Używając pieniędzy w celach politycznych, próbują krepować działalność rządów.

Co więcej jak pani wiadomo Amerykanie interweniowali w sprawy wewnętrzne różnych krajów Ameryki Łacińskiej — Meksyku, Nikaragui, Dominikany i Kuby. Gdy towarzystwom ich groziły trudności, wysyłały „floty”. Oni chętnie posługują się „flotą”, by bronić swych interesów.

Moim zdaniem opinia publiczna ludów Ameryki Łacińskiej stoi całkowicie po naszej stronie mimo propagandy amerykańskiej, radia, i dzienników, które nie przerywają nagonki. Ludy owe widzą, że dokonujemy rzeczy, których one same pragnęłyby dokonać, że zrobiliśmy wszystko, co należy, by zerwać więzy i złamać jarzmo. Dałimy przykład; widza one swoją szansę, ponieważ dowiedliśmy, że jest to możliwe.

FIDEL CASTRO o kubańskiej rewolucji

Naszym obowiązkiem jest bronić rewolucji, a lud jest gotów do obrony kraju. Narod nasz wykazuje wiele męstwa i godności, rozumie pani chyba, że nie ma takiej ofiary, której by nie poniósł dla ocalenia kraju.

— O ile wzrosły zyski z produkcji przemysłowej od czasu, gdy doszedł pan do władzy?

— Największy skok zrobiliśmy w dziedzinie rolnictwa, bo było to najłatwiejsze. Jeżeli chodzi o przemysł, w ciągu pierwszego roku układaliśmy plany, w tej chwili przystępujemy do budowy piętnastu dużych obiektów, tej właśnie sprawie poświęcamy najwięcej uwagi.

— Czy przemysł wasz będzie podlegał jakiejś generalnej organizacji, czy będzie częściowo prywatny, czy też znacjonalizowany?

— Chce pani zapytać, czy będzie własnością państwa? Jeżeli oszczędzamy i wymagamy od ludu oszczędności, a lud — by nam dopomóc — ponosi te ofiary, wydaje się słusznym, by rząd ulokował pieniądze, które należą do narodu, w nowym przemyśle. Leży to w naszym interesie. Potrzebujemy nowych maszyn, by wzmocnić produkcję,

ziem? Jak będą zarządzane i użytkowane owe tereny?

— Wywłaszczaliśmy w pierwszym okresie więcej niż 110 tysięcy hektarów. Wywłaszczanie owech dokonaliśmy w celu zorganizowania spółdzielni oraz, by dać ziemię drobnym plantatorom. Odebraliśmy prawie 200 tysięcy cabrillas wielkim właścicielom i na znacznych obszarach ziemi narodowej — nie cudzoziemskiej — założyliśmy owe spółdzielnie. Nadaliśmy również prawa własności prawie stu tysiącom plantatorów, którzy nie posiadali dotąd własnych gruntów.

Co do reakcji byłych właścicieli, zawsze są takie same. Kompanie zagraniczne wydają dużo pieniędzy na propagandę przeciw naszemu krajowi. Jest jednak wielu właścicieli, którzy przywiązują te części ziemi, jaka im pozostawiamy. Do pracy to wystarcza.

— Czy sądzi pan, że są wśród nich kontrrewolucjonści?

— Wielu wypowiada się przeciw rewolucji, ale nie czynią, tylko gadają. Niektórzy konspiracyjnie, lecz większość narodu popiera rewolucję i dobrze rozumie, że nie

rząd, mogło by stać się coś więcej przeciwnego, duch oporu w narodzie jeszcze by się nasilił.

— W przeszłości Kuba podlegała niejednokrotnie napaściom sił zbrojnych, pozostających na żoździe obalonej władzy. Czy sądzi pan, że istnieje ryzyko napadu ze strony najemników Battisty?

— Najemnicy nie zdolają niczego zdziałać bez pomocy rządu USA. My jesteśmy przy władzy i posiadamy jej potencjał: armie, dziesiątki tysięcy żołnierzy. Nie mogli nam dać rady, gdy stanowiliśmy tylko garstkę, jakże mogliby próbować zamachu obecnie, gdy mamy za sobą cały naród, gdy tysiące młodych mężczyzn i kobiet gotowe są oddać życie za rewolucję? Przypuszczenie, że Battista i jego najemnicy mogliby czegoś dokonać, jest absurdem. Jedyna nadzieja pokładana w interwencji Stanów Zjednoczonych.

— Niektóre rządy zagraniczne, a nawet niekiedy niektórzy wasi dawni towarzysze „oskarżają” rząd kubański o komunizm. Ze swej strony oświadczył pan, że antykomunizm zgubił Republikę Hiszpańską w roku 1938 i Francję w 1940 i że pan nie powtórzy podobnego błędu.

świecie i sądzimy, że pokój przyczynił się do rozwiązania wszelkich problemów. Nasz kraj dołoży wszelkich starań, by zachować przyjaźń i zapanifestować ją w ramach normalnych stosunków gospodarczych.

— Czy w pańskim kraju istnieje partia komunistyczna oraz komunistyczne pisma?

Oczywiście, gdyby pani zapytała czym jest aktualnie komunizm, obawiam się, że niektórzy ludzie nie potrafiliby odpowiedzieć, ponieważ reakcyjniści całego świata postarali się o stworzenie pomieszania pojęć, które sprzyja ich interesom. Część ludzi nie umie już rozróżnić, co jest komunizmem, a co nim nie jest. Reakcyjniści nazywają nas komunistami, my — oczywiście — nie kłopotujemy się tym. Zresztą osądź nas historię; to dopiero później historycy mówią o rewolucji i charakteryzują tę rewolucję. Ja kwalifikuję naszą rewolucję jako społeczną, w tym samym znaczeniu, jak społeczna była rewolucja rosyjska, a dawniej francuska i włoska. Możecie również powiedzieć, że w Indochinach odbyła się rewolucja społeczna. Historia, tak je wszy-

duje się nowy dom, trzeba zacząć od fundamentów.

Nasz naród doskonale to rozumie. To nie rząd, to lud nie chce politykować, ponieważ przypomniał sobie spory polityczne między partiami, związaną z politykowaniem korupcję, pamięta setki ludzi, którzy wzbogacili się na kradzieży w czasach, gdy Kuba pozostawała w jarzmie liderów politycznych. Lud rozumie, że w tej chwili trzeba pracować nad umocnieniem bazy. Ma czas na budowanie polityki, ponieważ wie, że nie można jej wznosić na starych bazach i konieczne jest stworzenie nowych.

Dzięki temu nasza struktura polityczna będzie zgodna z ekonomicznymi aspektami nowego państwa: Wówczas stworzymy prawdziwą demokrację, ponieważ niemożliwa jest demokracja, kiedy lud głoduje, kiedy setki tysięcy ludzi niepiśmiennych nie posiadają żadnej kultury. Demokracja może istnieć tylko wtedy, gdy każdy zna swoje prawa i rozumie wystarczająco problemy państwowe, kiedy umie pisać i czytać, kiedy pracuje i ma co jeść. Gdy zniknie wyżytek zadbamy o

Czy sądzi pan, że wasze stosunki ze Stanami Zjednoczonymi mogą się poprawić?

Mogą się poprawić. Pragniemy zachować dobre stosunki, a już nie my ponosimy odpowiedzialność za agresję przeciw Kubie. Nie występujemy przeciw USA, pracujemy u siebie, na Kubie i sądzimy, że oni nie mają prawa wglądania w nasze sprawy, tak, jak my nie wglądamy w ich sprawy. Do rządu USA nie mamy zaufania. Chcemy dobrych stosunków, ale coś możemy zrobić, gdy ich liderzy polityczni nie umieją postępować. To jest poważny problem — ponieważ oni są potężną militarną i gospodarczo — dla małego kraju jak nasz. Będziemy jednak nadal pracować i ufać w przyszłość Kuby i całego świata.

Naród kubański walczył przez sto lat o swą wolność. W końcu przyszła dla nas szansa. Nasz naród jest szlachetny i inteligentny. Właśnie dlatego nie mamy prawie opozycji przeciw rewolucji.

Gregorz
Timofiejew

CZŁOWIEK



Zostałem przeniesiony na blok siedemnasty sztabu A. Blok był gorszy. Granda nie z tej ziemi. Wszystko należało pazurami i kłami trzymać, bo natychmiast sąsiedzi organizowali. W nocy do Scheissraumu się orzeleciałeś, a tu już koca nie ma. Do krematorium z takim życiem. Władzę piastowała dobrana para bandytów: zielony Niemiec Herman Amelung i Polak, również kryminalista, Karol Schmidt, nazywany Cyganem z powodu smagłej twarzy. Teraz był już barankami w porównaniu z pierwszymi łamami Gusen. Nie mordowali, chyba że na rozkaz, ale draniami zostali. Cygan chętnie obcował z Polakami, Wesoły oprawca, Zartował, opowiadał pieprzne kawały i kłął soczystym językiem Kiercelaka. Miał skłonność do satyrycznego patrzenia na świat:

— Ej, wy tam na łózkach, ścieśnić się, czarna skiba idzie!

Na blok wpędzono nowy cugang. Rzeczywiście, była to „czarna skiba”. Ludzie nie ludzie, obdarte muzułmanami i Hłoby nieszczęsne. Leżeliśmy po dwóch. W nocy mój lachmyta trząsł się z zimna. Kiedy zasypiałem, oblał mnie, żeby się trochę ogrzać. Budziłem się: — A idźcie do diabła!

Odsuwał się, ale po chwili to samo. Powiada: — Mnie za jedno.

Bo ja byłem cieplejszy. Paskudnie na siedemnastym. „Protekcja” pocziwego Eckermanna, szrajbera z czternaściami i smakosza urwała się. Na nowym bloku trzeba było zaczynać od nowa.

Nie pamiętam już, z jakiego powodu straciłem pracę u młodocianych. Cygan był od sztabnbruchu, więc jego poprosiłem o przydział. Zostałem „złotnikiem”.

Było to zasrane zajęcie w dosłownym znaczeniu. Ale tak na wysłuch — niezgorzse. Wszyscy na bloku z złością mi i kłębili:

— Arystokrata, cholera, przy gównie pracuje!

Tak, w oczach „Fortepianträgerów” i muzułmanów uchodziłem za „arystokratę”.

Na terenie sztabnbruchu Gusen, nieopodal budynku mieszczącego werkmagazyn znajdował się duży muro-

jest nagi

wany ustęp z betonową podłogą. Tu dało się czasem wygodnie posiedzieć i jeśli obok znalazł się ciekawy towarzysz — inteligentnie porozmawiać. Z początku żenowało mnie kolektywne wykonywanie czynności, co do których panują dwa sprzeczne sądy: że to bardzo ważne i że o tym się nie mówi. Ta wyrażna kłóca się z logiką sprzeczność trapiła mnie jeszcze, gdy byłem dzieckiem: jeżeli ważne, to dlaczego nie należy o tym gadać? Bo nieprzyzwoite — tłumaczyli mi dorośli. Wyjaśnienie było autorytatywne, ale nie całkiem przekonujące. Więc jak to? Nie przyzwoite a ważne? W takim razie czy przyzwoite jest blache, czy jak u licha? Od tych wątpliwości zawsze burczało mi w brzuchu.

Tęż w obozie wszystko się wyrównało: nieprzyzwoite ważne, blache, przyzwoite — scheissegal. Siedząc w ustępie można było odpocząć, porozmawiać, dowiedzieć się najnowszych paroli, organizować i niekiedy coś zjeść — jednym słowem miejsce publiczne i tak zwane „wstydlive” stawało się jedynym przybytkiem, gdzie więźni w jakimś niewielkim stopniu był człowiekiem. Miał chwilę względnego bezpieczeństwa, obcował towarzysko, rozmawiał i myślał, dowiadywał się ciekawszych rzeczy od „ważniaków”, pracujących na lepszych komandach, no i jednocześnie się załatwiał. Tu krzyczowały się parole i przepowiednie, ważyły się sądy i ustalały opinie i wraz ze smrodem wychodziły na obóz. Stąd termin „scheissparola” — wiele mówiący i urzekający nadzieją lepszego jutra. Krótka, ten ustęp — to warszawska „Mała Ziemiańska” w Gusen.

Oczywiście, zdarzały się naloły Scheisskapy. Wtedy, bracie, portką w garść i zwiewaj!

Przy centralnym ustępie znajdował się kryty olbrzymi dół kloaczny. Tu przed moim przybyciem do Gusen topiono Żydów. Teraz, gdy terror zelżał, kloaka miała właściwe przeznaczenie: kał szedł do kahu. Oczywiście, nie sam. Kał należało z innych, mniejszych ustępów przywleźć. I właśnie tym trudnił się „złotnicy”.

Ja i Stefek Pajęczkowski mieliśmy własną pulę ustępów i określone formy pracy. Na rozległym terenie sztabnbruchu z przyległościami stały rozrzucone tu i tam, bardzo prymitywne ustępy. Kudy im do „Małej Ziemiańskiej”!

Dwie beczki, nad nimi belka, na belce dwu muzułmanów, a wyżej skromny drewniany daszek. Beczki miały uchwyty. Ja i Stefek zakładaliśmy drugi, wyciągaliśmy spod belki pełne laski beczki i stawialiśmy je na wózku w kształcie platformy. Wózek pchaliśmy po szynach w kierunku „Małej Ziemiańskiej”.

Praca niby lekka, nieważna, a przecież wymagała od nas dużej siłki. Ponieważ były tylko dwie beczki, w kolejce do nich stały szeregi muzułmanów. Należało pochwytać beczkę we właściwym momencie: żeby nie była zbyt pełna i żeby akurat

nikt nad nią nie siedział. Ale jak to zrobić, skoro ludzie paskudzą, a paskudzą?

Kiedy beczka była już pełna, staraliśmy się czym prędzej ją złapać i w „tri miga” postawić na wózek. Tamci ignorując nasze usiłowania, paskudzili dalej i kłębili, że im przeszkadzamy. Jedni innych usiłowali przechytrzyć i stosowali w tym celu perfidną taktykę. Ja na początku mojej złotniczej działalności byłem dość naiwny i ulegałem prośbom, żeby poczekać. Potem nie mogłem dać sobie rady. Tamci z ulgą zapinali portki, a ja stałem bezradny nad beczką tak pełną, że ani jej rusz. Po doświadczeniach zrozumiałem, że muszą działać bezwzględnie, nieomal brutalnie. Nie patrząc na nic, chwyciłem przy pomocy Stefka beczkę, stawiałem ją na wózek i energicznie ruszałem w kierunku „Małej Ziemiańskiej”. Za nami leciały zlorzczenia muzułmanów.

Pchanie wózka z beczkami nie sprawtało mi większego trudu, ale należało ten ciężar prowadzić po szynach ostrożnie, pieczołowicie, jakby się miało w rękach najdroższy skarb. Szyny leżały na ziemi nierówno i kiedy wózek chybał, beczki bulgotały, a chlupoczący kał przyskał nam na ręce i w twarz. Wreszcie dotarliśmy do celu. Teraz należało podnieść kłapę od dołu kloaczego i wylać tam beczki.

Na dzień mieliśmy normę:



cztery beczki. Więc robota żadna, tyle że nieprzyjemna. Ale gdy otwierałem kłapę, wydawało mi się, że w kożchem dole ujrzę potopionych Żydów. Gdy wylewałem zawartość beczek miałem uczucie, że zwiłotuję do dołu wnętrzości, tracę przytomność i wpadnę do kloaki.

W obozie nauczyliśmy się wszyscy nie zdradzać własnych uczuć, ale nad kloaką nie mogłem się opanować. Widocznie moja twarz mówiła zbyt wiele, gdyż pewnego razu obserwujący mnie jakiś przygodny więzień (jak się okazało, inteligent), powiedział:

— Niech pan nie daje po sobie nic poznać. Inni to mogą robić, pan też potrafi. Ze pan lepszy, delikatniejszy, esteta? Niech pan pomyśli, jakim kosztem powstała pańska jakość. Jest pan inteligentem, pana obserwują... Niech pan się nie wynosi nad zwykłych ludzi, niech pan się zachowuje tak jak wszyscy.

Ta perora nad otwartą kloaką zaskoczyła mnie i zdumiała bezgranicznie. Nie spodziewałem się, że akurat w tym miejscu obozu i przy okazji takiej właśnie czynności zostanie podjęta sprawa

niezmiernej wagi. Dlaczego niektórzy próśli ludzie żywali niechęć wobec inteligencji? Oczywiście, mogła w tym być maskowana wrogość zazdrość: na wolności jedni lekko pracowali, drudzy ciężko. I choć w obozie ten podział już nie istniał, trwała przecież pamięć różnic. Urazy na wolności tłumione przez panujący porządek społeczny — tu swobodnie wybuchały. To zrozumiałe. Ale czy tylko na takim tle występowała niechęć?

Kiedy przybyłem do Gusen i ludzie na kwarantannie dowiedzieli się, że jestem literatem, powiedzieli mi: — Toś ty pisarz? Toś ty ładnie pisał, że my wojnę z Niemcami przegrali.

Czy w oczach prostych ludzi odpowiedzialność za klęskę nie spadała również na inteligencję? W jakim stopniu ten ostrzy sąd był słuszny, to rzecz inna. Gorycz jest ślepa.

Staralem się teraz uporządkować chaos myśli. Los zrównywał wszystkich. Próbę obozu wytrzymało tylko to, co powszechne, ludzkie. Byłem zżyty z pewnymi formami towarzyskimi, z określonym, jak to się mówi, stylem. Teraz to wszystko stawało się nieważne. Mijał czas i on pozwolił mi jakoś uproszczyć się i zmaleć. Niekiedy pokpiwałem z samego siebie: to ci dopiero sprostanie, czenie. Ale natychmiast dawałem: lecz bez tolstojowskiej błagi.

nych. A to bardzo wiele, jak na ubogi obóz w Gusen.

Prócz tego Mauthausen i Gusen służyły esesmanom jako składnica, do której ładowano różne rabowane rzeczy, z całej Europy. Często transporty, liczące sto kilkadziesiąt wagonów, przychodziły z Włoch, Francji, Belgii, Holandii, Jugosławii, Rumunii, no i oczywiście z Polski. Na różnych maszynach, elektromotorach i pompach poznawaliśmy napis „Magistrat Warszawy”. Do zakładów zieleniowych w Gusen nadeszło podobno ponad sto wagonów różnego rodzaju maszyn z napisem Radom i znakami PWB (Państwowa Wytwórnia Broni). Polskie napisy nawet nie zostały usunięte. Rabunek był jawny. Co potrzebne i „na zapas” — zostawało w Mauthausen i w Gusen, resztę esesmani sprzedawali centralnym niemieckim firmom.

Więc na komandzie Werkmagazyn Gusen handel szedł na całego. Tu rzeczywiście można było wszystko dostać.

W ostatnim czasie do składnicy zwożono towary ze zrąbowanych w czasie ewakuacji zachodnich miast. Skóry, obuwie, tkaniny, wino, czekoladę... Niemcy cofali się na wszystkich frontach. Kiedy szliśmy wylądować w wagonie z łupem, wiedzieliśmy, które miasto zostało „planmäßig geräumt”. A czasem zawieruszyło się coś nie do wiary: pewnego razu wyla-

daliśmy angielską blachę. Została ona legalnie sprzedana przez Anglików Szwajcarii, a ta z kolei spuciła legalnie stal Niemcom. To nie szkodzi, że jednocześnie nad Gusen latały angielskie samoloty. Co innego wojna, a co innego handel.

Więc był Werkmagazyn gusenowski „kanada”. „Organizować” to przede wszystkim tu. Musiał kapo od królików pokryć Futterraum papą, szedł do Werkmagazynu. Za papę królik do papy. Potrzebował ten czy ów blokowy desek albo gwoździ, albo farby, kłaniał się w Werkmagazynie. Chciał esesman skóry na buty, kombinował z więźniami w Werkmagazynie. Interes związał wszystkich: esesmanów, cywilnych pracowników i więźniów. Stosunki były w krótkie i bardzo dziwaczne. Kiedy przychodzili na komando cywilni kierownicy, zaczynali od „nalatywania” na więźniów. Ale trwało to krótko i kończyło się na ścisłej siłwie. Bez nas więźniów nie można było w Werkmagazynie zorganizować, bo ostatecznie myśmy mieli wszystkie towary w łapie, przewożiliśmy z wago-

nów kolejowych do magazynów, zapisywaliśmy i wydawaliśmy za właściwym kwitem albo i bez kwitu, ale z własnej woli i ryzykiem. Opanowawszy Werkmagazyn demoralizowaliśmy i rozkładaliśmy wielką niemiecką Rzeszę. Przychodził z urzędu jakiś Niemiec i „nalatywaliśmy” na nas, a myśmy tylko pociągali nosem. Po dwu dniach czujemy — już jest nasz. Dymek ważniaka zdradził. Palik nie „kazuje” papierosy, ale nasz tytoń z paczek. To znaczy dał się „kasztan” kupić, wszedł do siłwy.

Podobnie było z kapami i blokowymi. Każdy wiedział, że z Werkmagazynem opłacić się dobrze żyć, inaczej, „schow se, bracie dwie pchły, na obiad”.

Komandoführerem był Antoni Kaufmann, dawniej siodlarz. Wysoki, melomówny esesman. Raczej spokojny. Za moich czasów nikomu specjalnej krzywdy nie zrobił. Więźniowie żyli z nim dobrze. Ale kiedy za dobrze — też się wpada. Pewnej niedzieli całe komando pognano do robót w kamieniołomach. Karniak! Do obiadu dźwigałem kamienie, a po obiedzie zapałem jak muzułmanin i rozmyślałem nad przewrotnością fortuny. Takie dobre komando i do kamieni?! Tymczasem sprawa była prosta.

W sztabnbruchu nasz zapał zajął i dał go w obiadowym upominku Kaufmannowi, nie pamiętając o tym, że przecież właściwy gospodarz terenu czyli komandoführer od sztabnbruchu będzie urażony, że zajął mu przed nosem przeleciał. No i dostaliśmy naukę.

Mieliśmy na komandzie cywilnych pracowników. Kierownikiem buchalteri był jakiś korpulentny, mały Niemiec o wyglądzie pocziwego wujaszka. Ten miał genialnego nosa. Ledwo wszedł do pokoju, w którym pracowali więźniowie buchalterzy, wołał „Es raucht!” i bezzębnie ustalał co się tu smażło. Palik nasz tytoń i od czasu do czasu próbował naszej paczkowanej pieczeni czy smaczna.

Komando zajmowało dwa murowane jednopiętrowe budynki przy drodze z obozu do sztabnbruchu. W pierwszym znajdowała się składnica i rezydencja Czesia Piskorskiego. Chętnie tu wstępowałem, bo z Czesiem dziennikarzem z zawodu, rozmawiało się ciekawie, a wśród stosów koców chowałem moje wiersze. Budynek następny to właściwie gniazdo organizatorów. Na parterze biura, na piętrze towary. Przy budynku grudy różnego żelastwa, pręty, beczki, szyny, blachy i Bog wie co!

Kiedy się człowiek przy robocie natężył, szedł do reprezentacyjnego murowanego ustępu. Był to uśmiech losu, że dało się w „Małej Ziemiańskiej” wygodnie posiedzieć i szajsparoli wysłuchać. Czasem wpadał z kłajem szajskapo i gonił muzułmanów, ale nas z Werkmagazynu nigdy nie ruszył. Nie ważył się z nami zaczynać. Obok kłaje i lament, a myśmy spokojnie siedzieli i dostojnie paskudzili.

Było nas z pięćdziesięciu chłopów. Ja tu dostałem się dzięki dr Władysławowi Gębikowi. Ponieważ do komanda szło się za protekcją, stanowiło ono istną zbieraną drużynę. Robotnicy, nauczycielstwo, klerycy, rzemieślnicy i technicy, nawet jakiś cudaczny hrabia na ozdobe. Sporo ludzi trzeba tu było przechować, przytulić, w końcu i na utrapienie wielu doszłusował literat.

„Królik widzowski”

—taki przydomek nadała międzywojenna prasa postępowo Oskarowi Konołowi, czołowemu łódzkiemu fabrykantowi, byłemu prezesowi i właścicielowi Widzewskiej Manufaktury. Koła prawicowe nazywały go „polskim Fordem”. Kim był naprawdę Oskar Kon-dowicie się już wkrótce z naszych łamów, na których rozpoczniemy druk fascynujących dziejów kariery jednego z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego kapitalizmu.

Zaproponować nie wolno!

Jeszcze raz o tańcu

W niniejszej rubryce, opatrzonej wprawdzie żartobliwym nadtytułem, ale pomyślanej jak najbardziej serio, pisałem już kilkakrotnie o tańcu.

Pisałem, że taniec jest przez telewizję wyraźnie niedoceniany, bądź traktowany zdawkowo i niedbale. Ze jest to piękna, wyjątkowo wizualna, a

wiem z głębokim przekonaniem, że na tańcu klasycznym zna się w Polsce minimalna ilość osób.

Żeby nie być gołosłownym daję przykład: w Łodzi oprócz prof. Feliksa Parnella (ale to — baletmistrz) ani jedna osoba nie chce i nie potrafi pisać fachowo o tańcu, a co



co za tym idzie i telewizyjna dziedzina sztuki. Ze to, że owo.

Teraz pragnąłbym rozwinąć swoją myśl. A nawet — poprzez ją argumentami nieco innej natury, niż dotychczas.

Otóż, jak wiadomo, muzyka zajmuje poważną część programu Polskiego Radia — będzie to muzyka raz symfoniczna, raz tzw. lekka, raz wręcz taneczna czy jazzowa. Wypełniając jednak swój program muzyką, radio — trzeba to uczciwie przyznać — dba o stałe podnoszenie poziomu umuzykalnienia swoich słuchaczy, organizuje dla nich raz za razem cykle „uprzykładowanych” wykładów, uczy rozpoznawania instrumentów, objaśnia formy muzyczne etc.

Wszelako radio mogąc umuzykalniać społeczeństwo nie może — choćby i bardzo chciało — tego społeczeństwa utanczać. Co najwyżej grać mu do tańca. Nie jest to jednak to samo — twierdzą bo-

najwyżej snuje impresję w rodzaju „... jak mi się wydaje”. Podobnie jest i w innych miastach Polski.

Rzucamy tedy śmiała propozycję — objaśnijmy telewizyjnym bodaj elementy tańca klasycznego i tańca w ogóle. Przedstawimy im podstawowe pas, zapoznajmy z jakimś szkicem historycznym, wytłumaczmy „jak to się w ogóle je”.

Pieniądzy na to potrzeba niewiele, czasu w programie też nie, a zasługa będzie ogromna.

(J)

Ponieważ idea wydaje się nam ciekawa, a przynajmniej dyskusyjna, postaramy się w najbliższym czasie poprosić kompletne osoby — m. in. dyr. L.O.T. Władysława Orłowskiego i prof. Feliksa Parnella — o wypowiedzi na ten temat.

(Red)



W tym tygodniu radzimy obejrzeć

Przed wszystkim transmisje olimpijskie — to chyba jasne i do tego telewizorów nie trzeba chyba zachęcać. Obok nich doprawdy niewiele mamy do zaproponowania.

CZWARTEK 1 WRZEŚNIA
W związku z rozpoczęciem nowego roku szkolnego program rozpoczyna się już o godz. 14.40 składanką na którą złoży się popularny „Miś z okienka”, estrada dziecienna oraz bajka Lucyny Krzemienieckiej „Jaś Kapelusznik”.

O 21.00 zobaczymy film produkcji polskiej „Lotna”, no a począwszy od 22.40 będziemy emocjonować się meczem piłki nożnej Polska—Argentyna.

PIĄTEK 2 WRZEŚNIA:
Poza transmisjami olimpijskimi właściwie jedna jedyna pozycja godna polecenia — dwudziestominutowy recital fortepianowy Stefana Askenazego, który rozpocznie się o godz. 20.30.

SOBOTA 3 WRZEŚNIA:
O 20.20 magazyn kulturalny „Pegaz”, o 20.55 reportaż filmowy pt. „Czas bia-

łostocki”, o 21.00 film fabularny produkcji NRD pt. „Moja żona chce śpiewać”.

Na **NIEDZIELE 4 WRZEŚNIA** możemy w tej chwili zapowiedzieć jedną jedyną audycję — mianowicie transmisję uroczystości Dożynek Centralnych, która rozpocznie się ze Stadionu X lecia w Warszawie o godz. 10.00.

Przed sezonem

Olimpiada — Olimpiada, niemniej we wrześniu wkraczamy w normalny sezon teatralny i telewizyjny. W swojej naiwności przypuszczaliśmy, że urlopy w TV przebiegną bez uszczerbku dla atrakcyjności programu, ale — jak się okazało — ogólna żądza wymoczenia się w morzu silniejsza jest nawet od oficjalnych deklaracji (które naszymi zamieszczala prasa warszawska i którym — naiwni — uwierzyliśmy) tak że w rezultacie miesiące letnie wypadły w TV dość mizernie.

Mimo to nie będziemy chyba wracać do przeszłości, a raczej spojrzymy w przyszłość i to z optymizmem.

Trzeba bowiem z satysfakcją przyznać że nasza łódzka telewizja solidnie przygotowuje się do nowego sezonu. I tak na przykład redakcja Audycji Estradowych — audycji raz chwalebnych a raz ganiomych, ale zawsze niecierpliwie oczekiwanych przez widzów — dokonała „pełnej mobilizacji” twórców i potencjalnych współpracowników z terenu Łodzi.

Slyszeliśmy, że wszyscy ci, którzy przejawiają choć trochę zainteresowania lżejszymi formami — otrzymali, bądź w najbliższym czasie otrzymają zaproszenia do współpracy.

Ze teksty do powstałego niedługo przed wakacjami teatralnymi „A KU KU” będą dostarczali przede wszystkim satyrycy łódzcy i że odbyła się nawet specjalna konferencja na ten temat.

Ze wszystkie zgłaszane z zewnątrz pomysły — również pomysły dotyczące wprowadzenia nowego typu audycji rozrywkowych — spotkały się z życzliwym przyjęciem i że niektórzy z projektantów będą mieli okazję wypróbowania swoich sił przed telewizyjną kamerą.

Oczywiście dopiero czas pokaże, czy z tej maki będzie jadalny chleb, sama jednak idea zgrupowania wokół Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego grupy twórców związanych z naszym miastem, będących „pod ręką” i — miejmy nadzieję — nie tak dokładnie przekonanych o własnej nieomyślności jak niektórzy literaci warszawscy — otóż ta idea jest na pewno szczęśliwa.

W dodatku doszła nas radosna wieść, jakoby telewizja łódzka dysponowała na ostatnie miesiące bieżącego roku pewnymi rezerwami finansowymi, a to — jak wiadomo — też nie jest bez znaczenia.

Pozostaje więc tylko cierpliwie czekać na efekty...



Bestsellery miesiąca

Jak się dowiadujemy, w sierpniu największą popularnością cieszyły się książki raczej poważniejsze. Prawdziwymi bestsellerami były bowiem „Myśli o sztuce i literaturze” Cypriana Kamila Norwida wydane przez „Czytelnik” w bardzo małym nakładzie 3200 egzemplarzy oraz „Mała encyklopedia muzyki” Józefa-Władysława Reissa (PWN nakład 30 tys. egzemplarzy).



„Myśli” Norwida wybrał i opatrzył wstępem Mieczysław Jastrun, który tak pisze o tym jednym z największych polskich poetów: „Norwid na-

leży do tych nielicznych artystów, którzy nie poprzestają na tworzeniu sztuki; chcą wiedzieć o tym co robią, zrozumieć sens własnej i cudzej sztuki, określić jej miejsce i czas”. Wyrazem tych właśnie przemysłów artysty jest książka „Myśli o sztuce i literaturze”.

Druga pozycja to dzieło (około 900 stron) prof. Reissa, „...muzykologa zmarłego przed czterema laty. „Mała encyklopedia muzyki” (pierwsza tego typu publikacja dla wojnie) jest przeznaczona dla coraz szerszego grona melomanów i ludzi interesujących się muzyką.

Afery ciąg dalszy

Pisaliśmy niedawno o sprawie kierownika kina „Polesie”. Ten z prawdziwego zdarzenia działacz społeczny i kulturalny (notabene jeden z założycieli Związku Zawodowego Prac. Filmowych) otrzymał ostatnio wypowiedzenie od pracodawcy, którym jest... Zarząd Okręgu Związku Pracowników Filmowych.

Nasze stanowisko w tej sprawie jest znane. Doceniamy potrzebę działalności kulturalnej, zwłaszcza na peryferiach Łodzi. Kierownik ki-

na „Polesie” jest właśnie jednym z tych społeczników, którzy bezinteresownie owa działalność prowadzą. Dlatego właśnie dziwi nas i oburza stanowisko Zarządu Okręgu w tej całej historii.

Poza tym przypominamy personalnie prezesowi zarządu okręgu ob. Tarnowskiemu o obowiązku odpowiadania na krytykę prasową. Jak bowiem wiadomo ustawy są po to, aby je respektować i o tym pamiętać winni nawet prezesi.

Warto obejrzeć

Wołamy wielkim głosem: koniecznie zobaczcie wystawę sztuki Eskimosów kanadyjskich! Naprawdę warto! Adres: Plac Wolności 14. Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne.

Na ekspozycję składają się przede wszystkim rzeźby i grafika wykonane z tworzywa u nas raczej nie

używanego a mianowicie z kości i kamienia.

Jakkolwiek wystawa czynna będzie aż do dnia 25 września, radzimy obejrzeć ją już teraz. Jest to bowiem wystawa z rodzaju tych, na które się wraca kilkakrotnie, odkrywając za każdym razem nowe pokłady piękna.

Parasolki

Czytelnicy pamiętają za pewne drukowaną w „Odgłosach” piosenkę Janusza Słowikowskiego pt. „Parasolki”. Właśnie jej tekst posłużył młodemu filmowcowi Jerzemu Woźniakowi za kanwę scenariusza uroczej, barwnej krótkometrażówki. Film jest animowany, a jego atrakcyj-

ność podnosi fakt, że kupkę i oprawę scenograficzną projektował znany malarz Wacław Kondek.

Wydaje nam się, że widz kinowy nie pogńiewałby się, gdyby mógł „Parasolki” obejrzeć sobie na ekranie. Na przykład w kinie aktualności.

Komu piosenkę?

Oczywiście mieszkańcom naszego miasta. Chodziłby rzeź prosty o cykl imprez PPIE „Estrada”. Kiedy kilka tygodni temu zapowiadaliśmy owe „Spotkanie z piosenką” nie przypuszczaliśmy nawet, że staną się one aż tak popularne.

Okazuje się zatem, że Łódź wcale nie jest ponurym, nie rozśpiewanym mia-

stem. Łodzianie chcą i umieją śpiewać, tylko jak widać potrzebny był ktoś, kto by ich do tego zachęcił. Dlatego byłoby niezłe, gdyby Polskie Radio zainteresowało się na stałe tym ciekawym cyklem. Zaskarbił sobie w ten sposób na pewno wdzięczność setek miłośników piosenki.

Co piszą inni?



„POLITYKA”
Moda moda, my jej sługi — powiedział kiedyś Minkiewicz (satyryk dziś zapomniany). Jest moda na przepisywanie i cytowanie w jednej gazecie tego co pisze inna gazeta. Wlec i my nie chcemy być gorsi. Cytujemy:

„ZYCIE WARSZAWY”
Korespondencja z Londynu Grzegorz Jaszunskiego:
„Komisja oceniająca program angielskiej TV ustaliła, że miliony dzieci oglądają programy zupełnie się dla nich nie nadające. W sposób najbardziej stanowczy komisja skrytykowała nadmiar elementów gwałtu i seksu w programach telewizyjnych.”

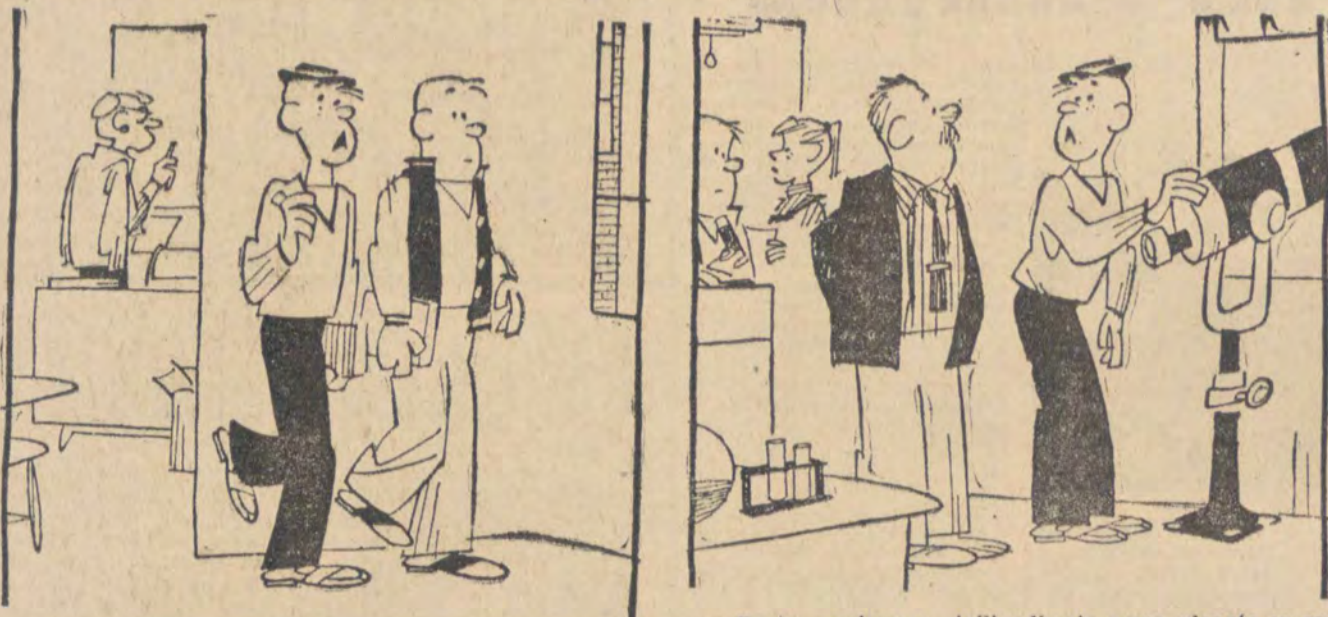
„Kierownictwa obu stacji telewizyjnych (zn. BBC i „niezależnej”) stwierdziły, że nie zgodzą się z tą krytyką. Zdanem dyrektorów stacji telewizyjnych rodzice odpowiedzialni są za to, by dzieci nie oglądały nieodpowiednich programów. Natomiast jeśli idzie o dorosłych, to dyrektorzy TV brytyjskiej widocznie uważają, że nadmiar seksu i gwałtu jest dla nich niezbędny.”

zamieszcza bardzo ciekawą tabelicę danych statystycznych opublikowanych przez Departament Nauk Społecznych UNESCO w Paryżu. Wynika z niej, że w roku 1959 było na świecie przeszło 85 milionów odbiorników telewizyjnych w tym w USA — 32.000.000, W. Brytanii — 9.300.000, Kanadzie — 3.600.000, ZSRR — 3.500.000, NRF — 3.340.000. Ilość odbiorników radiowych na świecie wynosi ponad 335.000.000, a radiostacji 9.000 z czego 60 proc. w USA i w Europie, gdzie znajduje się też 60 proc. wszystkich odbiorników radiowych.

„TYGODNIK POLSKI”
wydawany w Paryżu w numerze z 28 sierpnia br. przynosi zdjęcie zamieszczone obok z następującym podpisem: Dostaje rozkazu nerwowego przez ten dziś wynalazek.

Pozostawiamy to bez komentarza i bez wskazania na niezamierzony aluzję do programu wakacyjnego naszej rodzimej TV.

Najostrzejsze ołówki świata



— Nasza historyczka posia da stanowczo zbyt wiele wiadomości, by być dobrym pedagogiem...
(rys. Lansky)

— Panie profesorze, jeśli odkryję nową planetę w czasie zajęć szkolnych — to jak zostanie ona nazwana? Moim imieniem, czy pańskim?
(rys. Lansky)

ŻARTY ZE SZKOLNEJ ŁAWY

ZYGMUNT
fijas „Dogotowywacz”
wygodna proteza
kuchenna
dla słomianych
wdowców

unaPARK

(W ubiegłym numerze „Lunaparku”, naszego letniego, a jak pokazuje kalendarz i jesiennego zarazem czasopisma sezonowego dla słomianych wdowców, omawialiśmy drewniane urządzenie ułatwiające nam tanie dogotowywanie opornych w gotowaniu potraw, a zarazem utrzymywanie ich w długotrwałej, ale nieodzownej dla właściwego funkcjonowania organizmu, no, kończmy już to zdanie, temperaturze).

Niech nikogo nie zraża fakt, iż „dogotowywacz” sporządzony jest nie z metalu, szkła hartowanego lub porcelany... Epoka drewniana przecież poprzedziła glinianą, kamienną i brązową... Na drewnianych wozach przyjechały do Europy

nymi promieniami słonecznymi, falami głosowymi i elektrycznością.

Na „dogotowywacz” na kółkach można przecież także jeździć, jeśli się wypożyczy z ZOO tego osiołka. (Dyrekcja Łódzkiego Ogrodu Zoologicznego chętnie wypożyczy te głupie, lecz poczciwe i silne zwierzęta).

W wypadku zawieruchy wojennej można „dogotowywacz” podkuć na ostro. Można go też opancerzyć, ustawić na nim ciężki karabin maszynowy albo założyć stanowisko ogniowe dla dział lekkiego kalibru, ostrzeliwać skutecznie napastnika i równocześnie bronić ciepłej strawy przed jego zakusami.

„Dogotowywacz” jest znakomitym urządzeniem na czas mrozów: nie dymi i nie zdradza naszego stanowiska bojowego; „dogotowywacz” jest znakomitym ogrzewaczem dla rąk; „dogotowywacz” zastępuje przestarzałe gałki z węglem drzewnym używane przez handlarzy rynkowe do podgrzewania kolan w czasie siarczystych zębów; z „dogotowywacza” nikt wam nie święnie zakaski czy zupki, bo przecież można go zamknąć nie tylko na skobelek lub haczyk, ale na kłódkę wertheimowską, zamczek-sekretnik — i Yale, a i zwyczajny zamek kowalski bez cughaltów, jednakże ubezpieczony wkrętką hozelową. Nie lekceważcie tego prostego



nasze pramiatki indoeuropejskie. Na drewnianych wozach Czyniz Chan przewiózł do Europy cały swój sprzęt wojenny i harem, i dzięki nim i kumysowi, którym rozpijał swych podwładnych, stworzył ogromne państwo, rozciągające się od stepów mongolskich, Oceanu Spokojnego i Indyjskiego aż po Kraków niemal i Moskwę. Na drewnianych łodziach, nie na żadnych amfibiiach i parowcach, przyjechali do Labradoru i Grenlandii... Wikingowie... Krzysztof Kolumb przejechał Ocean Atlantycki nie na transatlantyku, lecz drewnianym okrętku... Młodzież pohalańska i góralska do dzisiejszego dnia ustanawia — nie notowane nigdzie — rekordy zjazdów szybkościowych na zwyczajnych drewnianych rowerach... Słomiany wdowiec ze swym drewnianym „dogotowywaczem” na kółkach — dalej zajdzie niż z termostatami sporządzonymi z próżni, szkła jenajskiego i aluminium, albo kuchenkami ogrzewa

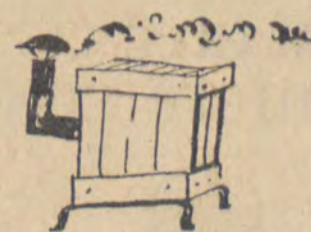
urządzenia. „Dogotowywacz”, „dogotowywacz” i jeszcze raz „DOGOTOWYWACZ”... Czy jesteście tak głusi i niepojętni, że trzeba wam trzy razy krzyknąć to słowo?



NIEDZIELNA ZBIÓRKA
(rys. Cabu)

Ale mimo to, jeśli nie ufacie zamkom (któż może im ufać? Przecież mimo istnienia zamków wciąż rozprzestrzenia się „sienie ludzkie niezgodnie z pożądanymi życzeniami prawa), albo boicie się, że letni złodziej, mówiąc gwara warszawska — nie „zaiwanil”. „przykacaulil” przyrzędu wraz z zamkiem, względnie na wyśczech, campingach, miejscach parkingowych, nad brzegami rzek i stawów, gdzie leczycie swe potargane nerwy łowieniem ryb i rozwielitek akwaryjnych — ciągle zerkacie na swój drewniany kocherek na kółkach w obawie, żeby sasiad nie posiadł go, ubezpieczcie się od kradzieży!

Państwowy Zakład Ubezpieczeń wszystko przyjmuje do asekuracji pod warunkiem sumiennego wplacania kwot ubezpieczeniowych.



Łódzki
BIGOS HISTORYCZNY

CO BYŁO. A NIE JEST.
PISZEMY W REJESTR

(„Dziennik Łódzki” — pismo handlowe i literackie, rok 1891
m-cie I—VI, nry — 114, 119, 121, 123, 130, 133)

U PANA PREZYDENTA...

Pan prezydent Łodzi ogłasza, że w dniu 29 maja o godzinie 10 rano przed Ratuszem Miejskim odbędzie się sprzedaż przez licytację publiczną KLACZY zatrzymanej, nie wiadomo do jakiego pana należącej. Licytacja rozpocznie się od sumy 25 rs. Panie — obejrzyć zgube!



OKRADAJA... SĘDZIÓW

Dom przy ulicy Dzikiej, wina, nader chętnie i często naprzeciw pasażu Majera, zamieszkały przeważnie przez łódzkich złodziei... Liczne ludzi zamożnych, mieszczący w sobie Sędziów Pokoju, oraz mieszkanie prezesa p. Mosk-

SOLDACKIE UCZYNKI

„Towarzystwo zachęty do medal honorowy gen. Dragodobrych uczynków” z Paryża mirowi za jego książeczkę przyznało pomiędzy innymi „Nastawienie soldatu”.

PANIENKI NIE ZASLANIAJCIE OKIEN...



Pan Policmajster miasta Łodzi wydał rozporządzenie: Aby w szynkach okna i drzwi szklane nie były zasłaniane firankami.

MŁODY CZŁOWIEK ZE WSI

Znający języki polski i ruski poszukuje miejsca prowentowego pisarza na wieś lub tem podobnego zajęcia w Swineckiego.

AERONAUTYCZNE

P. Józef Dzikowski, naśladowca „Leroux”, po dwukrotnym występie w Warszawie, w przyszłą niedzielę popisywać się będzie przed publicznością łódzką w Helenowie — wznosi się gumowym balonem do wysokości 5,000 stóp, skąd się spuszcza na ziemię za pomocą spadochronu...



BOGOBOJNY ROZBÓJNIK...

Konstantynopol 11 czerwca. nas z otrzymanego okupu pod Kraży tutaj wiadomość, że Czerskokoi — 200.000 fr. — rozprzywódcą rozbójników, Atha- dał klasztorom 60.000 fr.

W CZARNEJ GODZINIE PRZED BIAŁYM GROBEM

Z reklamy „Gazety Warszawskiej”: „Zwracamy uwagę naszych prenumeratorów, że w odcinku podajemy już teraz prace oryginalne i ogłoszeń, w którym KAŻDY nasz prenumeratorka w kwartale będzie miał prawo dać bezpłatnie jeden raz ogłoszenie własne... (np. swe zaręczy czy nekrologi)”.
J. Rogosza. Obiecane też ma-

W DZIENNIKU ŁÓDZKIM

Są do nabycia Przepisy o nikiw, oraz szematy do pracy Maloletnich Robotników, książki „bryczne do szkółkach łódzkich, a także druki pisywania małoletnich robot-

Wybrał
ZDZISŁAW KONICKI

Redaguje Zespół O Wydawca Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 64. Tel. 544-75
Warunki prenumeraty miesięcznie 2 zł, kwartalnie 6 zł.
Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Hasłonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zamieszczeniem na „Ogłoszenia” O Druku RSW Prasa — Łódź, Zwirki 11. O Zam. 1834. VIII. 64. R-4

„KRZYŻACY“ NA EKRANIE



Pisaliśmy już w lipcu, przy okazji obzwojskiej premiery: „Wszystkie zalety sfilmowanych „Krzyżaków“ miały punkt wyjściowy już w scenariuszu. To chyba jedna z najbardziej udanych adaptacji dzieła literackiego, jaka powstała w naszym kraju. Tym trudniejsza do zrealizowania, że bazuje na książce powszechnie znanej i ulubionej”.
A przede wszystkim — powieść Sienkiewicza jest obszerna, wielopostaciowa i wielopostaciowa. Nawet dwuseriowy, trzygodzinny film — nie jest w stanie przekazać całego bogactwa zdarzeń i obserwacji pierwowzoru. Dajmy, że w sienkiewiczowskiej wersji dominuje akcja, opisów nie jest zbyt dużo (aż realizatorzy dla zdokumentowania — już roboczo — niektórych postaci i miejsc musieli sięgnąć do opisów z „Krzyżaków“ Kraszewskiego).
A jednak adaptatorzy dokonali skrótów niezmiernie szczęśliwie, nawet mając na świeżej w pamięci książkę — nie odczuwa się braku niektórych bohaterów i motywów. Co ważniejsze: skracanie i selekcja stwarza zawsze groźbę pewnego schematu, ukazywania tylko tego co najważniejsze, z pominięciem (a obyczajowego i innych elementów tylko wspierających zasadniczy wątek. Jednym słowem — można popaść w nieustanne forte, przykre dla widza, który nie jest w stanie zdobyć się na wysiłek przeżywania bez przer-

wy całego filmu. (To właśnie forte zdaje się powodować słabe powodzenie filmów Eisensteina wśród szerszego grona widzów).
Stawiński i Ford stworzyli rzecz naprawdę do oglądania, dramaturgicznie bezbłędnie rozegraną. Nastroj „faluje”: sceny o dużym ładunku dramatycznym zawsze zostają rozładowane, widz ma czas zacerpnąć oddech do następnego spięcia kina.
Inne niebezpieczeństw, które groziło realizatorom. Powieść Sienkiewicza była filmowana na bardzo konkretny, aktualny zamówienie społeczne. To z kolei mogło spowodować przytłumienie artystycznych, politycznych. Latwo — zwłaszcza było popaść w przesadę kłusiac obok krzyżaków, w efekcie cała opowieść przypominałaby pewną dylematną zabawkę (— Boicie się czarnego ludu? — Nie! — krzyknął gromki Polacy i — wgrali bitwę pod Grunwaldem)...
Obraz Krzyżaków ma w tym filmie zdecydowanie negatywną wartość, bo tak chciał Sienkiewicz, a co ważniejsze — taka jest prawda historyczna; ale przy tym jest to obraz złożony, wycieniowany pod względem psychologicznym. Trudno tu w tej chwili orzec, ile w tym zasługi scenariusza, a ile reży-

sera i aktorów. Jedno jest pewne: scenariusz przygotował z góry takie właśnie jedynie słuszne rozwiązanie, nie tracąc nic z niewyuznaczonej wymowy politycznej.
Czasem nawet, wyjątkowo — film idzie przeciw Sienkiewiczowi! Czasem zdaje się, że autor powieści był bardziej ortodoksyjny niż filmowcy... Przytoczyć tu warto jeden przykład — postać Ulricha von Jungingena, znacznie ciekawszego, pełniejszego, niż w pierwowzorze literackim.
Podobny zabieg — choć w innym kierunku — zastosowano wobec postaci Jagielly. Przedstawiony przez Sienkiewicza trochę jako prostak, jako wódz — który zwycięstwo wymógł — tu nabrał rytmu — złałności, mądrości życiowej, trzeźwej dyplomacji, ten model — w świetle najnowszymi badań — bliższy jest prawdzie, niż wizerunek przekazany przez Długosza.
Przy okazji omawiania niektórych bohaterów — kilka słów o Zbyszku, który jest przecież najbardziej eksponowaną postacią.
W postaci Zbyszka odnotowano ów jedyny, jakże trudny do uchwycenia w filmie — gest romantycznego bohatera (na scenie łatwiej to osiągnąć, sprzyja w kreowaniu takich postaci bogata tradycja sceniczna). Czuło się tu jednak — być może — więcej zasługi reżysera, niż aktora. Mieczysław Kalenik jest zbyt

mało doświadczony, by wdzwignąć tę rolę bez wyjątkowego kierownictwa. Tym większym sukcesem jest stworzenie sylwetki tak przekonującej i soczystej. Zbyszko nie okazał się kolejną odbitką walecznego, zręcznego Fanfana, choć sposobności po temu nie brakowało. Otrzymałszy więcej nawet, niż precyzyjne powołanie sienkiewiczowskiego bohatera — pokazano nam bardziej ogólny portret Pola k a, ze wszystkimi tak dobrze nam znanymi cechami narodowego charakteru... Pokazano nam Zbyszka z dys-tansu, dając wyraźną ocenę jego postawy.

* * *

I wreszcie — ostatnia uwaga. Sfilmowani „Krzyżacy“ posiadają ogromne walory widowiskowe.
Kolor i panorama procentują tylko wtedy, gdy rzecz jest oparta o żywą akcję; kameralność, niuanse psychologiczne, gadulstwo — obec są tym technikom. Z drugiej strony — darujcie truzim — przesadne wygrzywanie elementów wizualnych może po prostu przytłoczyć treść. Z kolei widowisko samo w sobie, bazujące na miernym materiale literackim — też nie ma wielkiego sensu (choć w tym względzie amerykańscy twórcy super-filmów mają nieco inny pogląd).
Fordowi i Jahodzie udało się osiągnąć idealną chyba równowagę między efektywnym widowiskiem a materiałem treściowym. Przykładem niech będzie sekwencja bitwy pełna rozmachu, znakomicie skomponowana każdym kadrem i zmontowaniem całości — a przecież w tym koncowym, wielkim fresku cały czas zachowujemy orientację, jak toczą się losy pojedynku dwóch armii.
Tu właśnie — i dobrze, że tylko w tej scenie — przychodzi na myśl nazwiska Laurence Oliviera i Sergiusza Eisensteina.
Niech przypomnienie tych twórców zastąpi końcową ocenę sfilmowanych „Krzyżaków”.
M. KOSTECKI



DWUGŁOS: MARK TWAIN RENE CLAIR



„Najpierw Bóg stworzył mężczyznę. Następnie kobietę. A potem — Bogu zrobiło się żal mężczyzny i stworzył tytoń“ (MARK TWAIN)
„...Później zaś — pomyślał sobie, że chyba jednak uczynił dla ludzi zbyt wiele — i nauczył Amerykanów kręcić filmy...”
(RENE CLAIR)



CHAPLIN zawsze tajemniczy

Charlie Chaplin przygotowuje nowy film, scenariusz pisze wspólnie ze swoim synem Sydneyem. Wsłubscy dziennikarze francuscy, którzy przybyli do chaplinowskiej rezydencji w Szwajcarii, by uzyskać jakieś informacje o projektowanym filmie — spotkali się z odmową: Chaplin ani słowem nie zdradził treści scenariusza, potwierdził jedynie ogólnikowo, że w przyszłym roku rozpocznie zdjęcia.



GRETA GARBO -MODRZEJEWSKĄ?



Podobno jest już zupełnie pewne, że po wielu latach nieobecności na ekranie, Greta Garbo znów wystąpi w filmie. Tym razem — w roli Heleny Modrzejewskiej, wielkiej polskiej aktorki. Sądząc ze zdjęcia, które fotoreporter zrobił ukradkiem (Greta nie pozwala się fotografować) — charakterystyczny będzie miał dużo do roboty...



„BIERIOZKA“ na ekranie

Kilka lat temu okłaskiwa. Młodzieniec pragnie wyznać liśmy w Polsce znakomity, dziewczynie swe uczucia — dziewczęcy zespół „Bieriozka”. Filmowcy radzieccy wykorzystali bogate, podróżnicze życie zespołu jako kanwę dla scenariusza pt. „Dziewczęca wiosna”. Bohaterami filmu są urocza solistka „Bieriozki” — Gala i młody robotnik Wołodia.
A. N.



Świadek oskarżenia

Jeden z najlepszych reżyserów amerykańskich Billy Wilder, twórca wyświetlanych ostatnio u nas; „Bulwaru zachodzącego Słońca”, i komedii „Pół żartem, pół serio” — tym razem daje się poznać jako autor adaptacji kryminalnej powieści Agaty Christie „Świadek oskarżenia”.
Wielu z widzów czytało powieść bądź też oglądało jej sceniczną przeróbkę graną swego czasu w warszawskim Teatrze Sensacji. W jednym i w drugim przypadku pasjonowaliśmy się przede wszystkim, rozwiązywaniem kryminalnej zagadki: „Zabił, czy nie zabił?” Wilder podszedł do powieści Agaty Christie inaczej — ukazał złożoną psychologię postaci. Element sensacji, zagadkę kryminalną odsunął na plan dalszy, eksponując dramat psychologiczny kobiety i „wyprowadzonego w pole” adwokata. Tym też postaciom dał złożony rysunek, podczas gdy postać oskarżonego o mordstwo jest zbudowana płytko, tak, że nawet niedoświadczonemu w rozszyfrowaniu zagadek kryminalnych widzu-

wi, może wskazać końcowe rozwiązanie. Reżyser „Świadka oskarżenia” nie stara się rozwiązywania zagadki specjalnie ukrywać. Chce zwrócić uwagę widza na psychiczne motywy działania ukazanych bohaterów. Niestety, to zamierzenie niezupełnie się udało. Szczególnie postać tajemniczej żony oskarżonego grana przez dawną już niewidzianą, a zawsze „młodą babcię” — Marlenę Dietrich, wyszła trochę płasko i papierowo (choć np. scena na dworcu zagrana została przez wielką gwiazdę bardzo przekonująco). Wielką kreacją aktorską nazwał trzeba interpretację roli adwokata przez niemniej sławnego Charlesa Laughtona („Życie prywatne Henryka IV”). Dla tej kreacji warto zobaczyć film Billy Wildera. Wielki angielski aktor swoją sugestywną grą przyćmiewa w tym filmie jeszcze jedną indywidualność, popularnego amanta amerykańskiego — nie żyjącego już Tyrone Powera, znanego u nas między innymi z filmu „Znak Zorro”. Cała ta wymieniona trójka aktorska jest chyba największym magnesem, który będzie ściągał widzów.
Film ten znalazł się w roku 1958 wśród filmów amerykańskich pretendujących do nagród Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej w Los Angeles, zwanych „Oskarami”.
ALEKSANDER NIEŚMIALEK

MARLENA DIETRICH

